Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 19 września 1937 r. — Nr. 38

Idzie jesień

Nad polem, nad tym szerokim ugorem,
Sznur dzikich gęsi sunie błękitem...
A moja dusza, od smutku chora,
Tych dzikich gęsi jest tęsknym krzykiem...

Och, nie odnajdę już dzisiaj w polu
Dawnej nadziei, ani radości,
Dziś wszystko smętkiem w nim jest i bólem,
Dziś pole mgłami się jeno mości.

Daleko górą, to znów doliną
Ciągną pług twardy dwa czarne woły,
Och, wiem, że teraz dni moje popłyną
Też tak leniwie i niewesoło..

Złocista jesień już idzie z dala,
Już w liściach kładzie swe pierwsze znaki,
A ja?... No, nie wiem, nie wiem wcale,
Czy się uśmiechnąć, czy też zapłakać...

Maria Zemmlerówna.



MARIA REUTT

6)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

— Niech pani zajdzie do nas od czasu do czasu, sama lub z dziewczynkami — zapraszała pani Bogdzińska, żegnając się z Danką.

* * *

— Nie pojechała pani do Obidówki? — zdziwiła się pani domu, ujrzawszy ją w ogrodzie.

— Panna Ludka zadecydowała, że objedzie się tam beze mnie — objaśniła.

— Nie bardzo to było znowu mądrze z jej strony — żżymnęła się pani Ciemierzewska — nie powinna była pani jej słuchać. To dobre dziecko, tylko trochę narwana. Obidówka ładny dwór, a Andrzej ma dużo ciekawych rzeczy, przywiezionych ze swych licznych podróży.

— Może jeszcze kiedyś będę miała możność zobaczyć te wszystkie nadzwyczajności, a tymczasem spędziłam bardzo miłe popołudnie w Ustroniu.

— Zna pani moją kuzynkę? — zdziwiła się, jakby trochę niemile dotknięta pani Ciemierzewska.

— To pani kuzynka? — zdziwiła się ze swej strony Danka.

— Pani o tym nie wiedziała?

— Nie, pani Bogdzińska nic mi nie wspominała o tym.

— Owszem, jest naszą kuzynką i to bliską, ale od czasu jak jej mąż zmarnował i stracił majątek, a ona zamieszkała tu, unika stosunków z nami. Cieszę się, że pani ją poznała, bo może za pani pośrednictwem nawiąże się przyjaźń między naszymi dziećmi a jej Bożenką.

ECHO ZŁEGO ŚWIATA.

Z Obidówki wrócili dopiero późnym wieczorem. Pan Leon smutny, panna Ludka rozmarzona, dzieci uszczęśliwione.

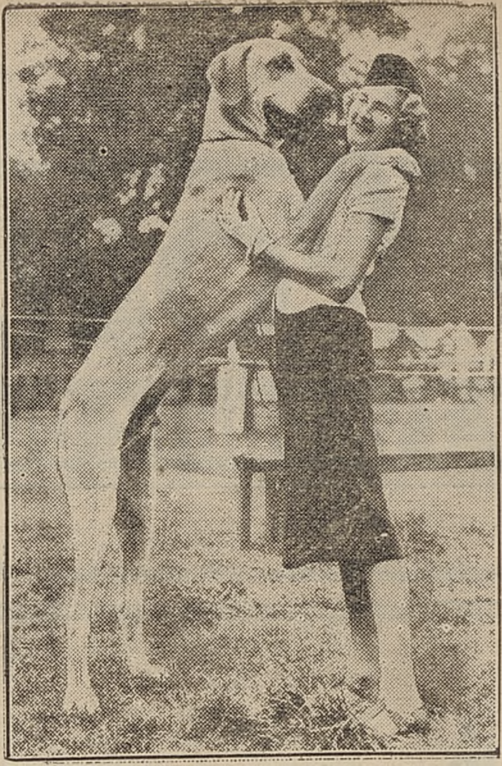
Dostały moc prezentów, przewróciły prawie cały dom do góry nogami ku zgorszeniu pani Teofilowej, żony szofera, która zajmowała się domem na czas pobytu pana Ciemierzewskiego w majątku.

Matka zapakowała je od razu spać. Były tak zmęczone, że nie protestowały, ale potulnie powiedziawszy wszystkim dobranoc, poszły spać.

Starsi zostali na ganku.

Noc była ciepła, choć lekko pochmurna. W powietrzu unosił się zapach kwitnęcych lip. Milczeli wszyscy pogrążeni w myślach, każdy w innych...

Pan domu wsunięty wygodnie w fotel, palił papierosa i przypominał sobie, czy nie zapomniał o jakim rozporządzeniu i czy Józef, stajenny, opatrzył kopyto Karej...



Wspaniały duński dog, który uzyskał pierwsze miejsce na angielskim konkursie rasowych psów.

Student spoglądał na chmurne niebo i porównywał swoje szanse u panny Ludki z temiż pana Ciemierzewskiego, dziedzica na Obidówce i z goryczą dochodził do przekonania, że nie ma żadnych prócz uczucia i młodości. Ale i pan Ciemierzewski był młody i mogła mu się panna Ludka podobać, a on jej...

Pani Ciemierzewska wyciągnięta wygodnie na trzcinowym szezlongu, myślała o tym, jakby to dobrze było wydać Ludkę za Andrzeja, to znów przeskakiwała z tego przedmiotu na indyczki, które jakoś źle się hodowały, to na bonę Niemkę, że trzeba będzie się z nią od jesieni rozstać, bo rozpróżniaczyła się zanadto.

Panna Ludka marzyła o młodszym Ciemierzewskim. Dla niej, biuralistki, wystukującej po osiem godzin dziennie na maszynie nudne dla siebie rzeczy, małżeństwo z Andrzejem byłoby losem wygranym na loterii życia.

Zamożny obywatel, dyplomata..... Widziała już siebie jako żonę posła, a nawet ambasadora na balach dworskich w Brukseli i Londynie, lub Rzymie... Schylały się przed nią głowy władców, uśmiechały się przyjacielsko królowe i królewny...

Jedna Danka o niczym nie marzyła. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność chmurnej nocy z uczuciem tropionego zwierzęcia, któremu udało się ujść pościgu i ukryć w bezpiecznym legowisku.

* * *

— Dobrze się stało — przerwała ciszę Ludka — że pani nie pojechała z nami, bo nawet nie było przygotowane nakrycie dla pani, więc widać Andrzej nie liczył się z pani wizytą.

— Andrzej — to nienawistne imię het, z tamtej strony, — Andrzej Pietrowicz.

— Czy pan Ciemierzewski był w Bolszewii? — zapytała odruchowo, zwracając się do pani domu.

Lekkie wahanie... chwilowe milczenie, chrząknięcie i pan domu wyręczył żonę:

— Owszem był, ale bardzo krótko, w misji dyplomatycznej.

— No wiesz, znowu nie tak krótko — wyrwało się Ludce — więcej niż rok tam się wałęsał....

— Tak długo na pewno nie był — protestowała podrażnionym tonem pani.

Andrzej.... bolszewia.... Andrzej Pietrowicz... i te oczy szare, takie znajome...

Znikł uczucie pewności, poczuła się znowu tropionym zwierzęciem.

* * *

Długa, bezsenna noc i bezładna modlitwa::

— Wyprowadziłeś mnie z niewoli, Boże, ratuj mnie i opiekuj się teraz. Matko Najświętsza, nie opuszczaj, nie opuszczaj mnie...

W czasie niedoli zbyt miała serce przepojone goryczą za niezasłużoną krzywdę, by mogło wznieść się w modlitwie do Boga. Nie chciała się modlić, a widząc to, co się koło niej działo, straciła wiarę w skuteczność modlitwy. Dopiero cudowne wyzwolenie obudziło w niej odruchowo potrzebę modlitwy dziękczynnej, nawróciło jej duszę do Boga, uszlachetniło ją.

Niebezpieczeństwo kazało instynktownie wzywać pomocy i opieki Najwyższego.

DWA ZRANIONE SERCA.

— Ach, jak pani źle wygląda, panno Danko, — zauważyły dziewczynki, gdy na drugi dzień siadała z nimi do lekcji.

— Głowa mnie boli, źle spałam usprawiedliwiała się — i mam nadzieję, że będziecie dziś grzeczne przy lekcji, żeby mnie nie męczyć.

...Będzie go śledzić i obserwować, bo musi za wszelkę cenę dojść, czy pomiędzy nim a tamtym Andrzejem nie zachodzi jaki związek i czy widmo przeszłości nie przywlokło się za nią aż tu — przyrzekła sobie, wsłuchując się w gamy grane przez dziewczynki.

* * *

Popołudniu panna Ludka strojna, rozśpiewana, zbliżyła się do niej.

— Panno Danko, chodźmy na spacer z panem Leonem. Dziewczynki poszły z ojcem w pole, na pewno nie wrócą przed wieczorem.

Zgodziła się chętnie.

W swym strachu odczuwała potrzebę garnięcia się do ludzi, jakby w ich obecności szukała opieki i schronienia przed niebezpieczeństwem. Bała się samotności.

Dzikie zwierzęta, gdy grozi im nieszczęście, niebezpieczeństwo, gdy są zranione, uciekają w głąb kniei lub pustyni, zaszywają się w gąszcz.

Domowe stworzenia na odwrót, w razie powodzi, pożaru, zranienia, choroby — u człowieka szukają przytułku i ratunku, garną się do siedzib ludzkich.

Ludzie również dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy uciekają od swych współtowarzyszy, by skryć swą rozpacz, ból, niepokój i takich, którzy w chwilach trudnych muszą czuć koło siebie istoty ludzkie.

Do tych ostatnich należała i Danka. Bała się samotności, ciemności nocy i ciszy, gdy serce jej ściskało się bólem i strachem. Uciekała od nich do ludzi nawet obojętnych.

* * *

Panna Ludka strojna, świeża, rozmarzona, szła trochę naprzód w swoich lekkich, jasnych pantofelkach. Za strojna, trochę była za elegancka na wiejską drogę piaszczystą, rzadko wysadzaną suchotniczymi wierzbami. Za nią postępowała Danka w skromnej perkalikowej sukience, żółtych sportowych półbucikach, blada, z twarzą zaciętą, ze zmarszczką na czole, postarzała, zgaszona.

Obok Danki szedł student — blady jak ona, zmarszczony jak ona, ale z innego powodu.

Kochał się w panie Ludce. Uczucia jego i myśli krążyły koło niej jak ćma koło światła.

Wiedział, że panna bawiła się nim tylko ,że był jej zupełnie obojętny, a mimo to nie mógł zmóc w sobie kochania, które tkwiło w jego sercu od lat trzech.

Państwo Ciemierzewscy co roku brali jednego studenta na wakacje, by na świeżym powietrzu i dobrobycie leczył wyniszczony głodem i pracą organizm. Leon przechodził zapalenie płuc i Bratnia Pomoc poleciła go państwu Ciemierzewskim, bo wyniszczonemu chorobą i przymieraniem głodem groziły suchoty.

I tu poznał pannę Ludkę. Znudzona pracą w biurze, pragnąca wydać się dobrze zamąż, w braku kogo innego kokietowała jego, nie troszcząc się o to, że dla zbiedzonego studenta stała się ideałem jego snów i marzeń. W miarę jak dzięki pobytowi w Ciemierzewicach rok rocznie poprawiał się, przychodził do sił, miłość wkorzeniała się coraz mocniej w jego jestestwo.

Cierpiał więc obecnie, bo odgadł jej manewr.

Prowadziła ich w kierunku Obidówki, do miejsca, gdzie grunty ciemierzewskie łączyły się z polem obidowskim. Miała nadzieję, że spotka się z nim.

Danka nie spotrzegła wybiegu, nie zauważyła kierunku, szła w myślach, chmurna, obojętna.

MASKA DUSZY

Nadzieje panny Ludki spełniły się. Na miedzy ukazał się pan Andrzej na koniu. Jechał wolno w stronę domu. Panna Ludka przyśpieszyła kroku, nie oglądając się na towarzyszącą jej parę i zwinąwszy ręce w trąbkę, zawołała z radosnym drżeniem w głosie.

— Panie Andrzeju!...

Obejrzał się, zawrócił konia i jechał ku nim. Panna Ludka nie szła, ale biegła naprzeciw niego.

— Niespodziewane spotkanie — witała go, ale gdy usta wymawiały to kłamstwo, oczy wykrzykiwały prawdę: szłam ci naprzeciw, skierowałam się w tę stronę w nadziei, że cię spotkam.

Widać zrozumiał mowę źrenic, bo uśmiechnął się porozumiewawczo i rękę jej podniósł do ust.

Danka i student, widząc się wyprzedzonymi, zostawionymi w tyle jak niepotrzebne rzeczy, nieużyteczny już pretekst, zwolnili kroku, cofnęli się sami. Pan Andrzej zeskoczył z konia i trzymając go za uzdę, ruszył naprzeciw nich.

— Dzień dobry pani... jak się pani ma... — zabrzmiało wypowiedziane niskim, dźwięcznym głosem, poparte miłym, zniewalającym uśmiechem dyplomaty.

Panna Ludka wsunęła mu poufale rękę pod ramię i skierowała na drogę do Ciemierzewa.

Dał się prowadzić, ale zwalniał kroku, by zrównać się z resztą towarzystwa.

Panna Ludka zauważyła ten manewr i twarz jej spuchmurniała. Złym, niechętnym okiem spojrzała z boku na Dankę i rozpogodziła się. Blada twarz Danki, podpuchnięte oczy i zacięty wyraz ust uspokoiły ją.

Juliusz ma rację — przypomniała sobie słowa szwagra — z taką chmurną twarzą nie zrobi mi konkurencji.

— Wie pan, że panna Danka jest nieprzyjaciółką mężczyzn?.

— Naprawdę — uśmiechnął się zdawkowo pan Andrzej, nie spojrzawszy nawet na zaczerwienioną dziewczynę.

— Tak, zacięta z niej nieprzyjaciółka rodu męskiego, uważa, że w każdym z nich drzemie zwierzę...

— Ma pani rację — zwrócił się do Danki tak nagle i niespodziewanie, że dziewczyna nie zdążyła zapanować nad wyrazem przykrości, który wybił się na twarz rumieńcem krwawym — w każdym z nas drzemie zwierzę: tygrys kwiożerczy, czy wierny pies — ale zawsze zwierzę.

Danka milczała. Serce jej biło mocno strachem przeczucia. Ten nagły zwrot do niej, błyskawiczne spojrzenie, to niespodziewane podpatrzenie jej rumieńca, przypomniały jej metody bolszewickie.

Widzieli, nie patrząc, podpatrywali — pozornie zajęci czym innym. On... nie on?... — biło jej w sercu trwożne pytanie, kłuło w skroniach, paliło w mózgu.

Niemożliwe, żeby to był on! Komisarz bolszewicki i Polak, polityk i obywatel ziemski w jednej osobie!

Ja chyba tracę zmysły — uprzytomniła sobie — trzeba być wariatką, żeby podobne przewidzenia brać na serio. — Gdyby tak mogli odgadnąć jej szaleńcze myśli. Podniosła oczy na idącą przed nią parę.

— Ale pan nie zabiłby człowieka? — dobiegło ją pytanie, wypowiedziane przymilnym głosem panny.

— Życie ludzkie teraz takie tanie... — odpowiedział wymijająco — zresztą to zależy od miejsca i okoliczności.

— „Zuch ze mnie — tak umiał się ucharakteryzować i tak świetnie grał swą rolę, że tydzień mieszkał j w domu i rodzona matka nie poznała" — zadźwięczały jej w uszach słowa komisarza Pietrowa i jego śmiech rechotliwy, tam... wówczas...

Za wszelkę cenę przerwać to naprężenie nerwów, graniczące z obłędem. Z wysiłkiem zwróciła się do studenta:

— Niezbyt rozmowną stanowimy parę...



Fragment ogrodu zoologicznego Hagenbecka pod Hamburgiem. Jak widać, słonie znalazły się w pomieszczeniu przypominającym im częściowo strony rodzinne.

— A tak — odpowiedział apatycznie — nie jesteśmy jak widzę, usposobieni do rozmowy.

— Jak to dobrze, że pan przed pomyłkę nie wybrał zawodu adwokata, bo musiałby pan mówić bez względu na usposobienie...

— Jestem na inżynierii.

— A ja właśnie marzyłam o adwokaturze.

Popatrzył na nią krytycznie.

— Byłby z pani dobry adwokat z tą spokojną twarzą i chmurnymi oczami, ale nie jestem zwolennikiem kobiet prawniczek.

— Woli pan kobiecość, perfumy, powiewne szaty, głupotę i nicość moralną często — zirytowała się.

— Ma pani rację, że wolę.

— Wobec tego nie warto więcej rozmawiać z panem. Ta „wieczna kobiecość" to tylko najordynarniejsze szukanie podniet zmysłowych, to zwierzęcość — uniosła się.

W swym podnieceniu nie zauważyła, że ci dwoje na przodzie, przestali rozmawiać i rozbawieni przysłuchiwali się.

— Nie ma pani racji — uniósł się ze swej strony student — kobiecość, to najpiękniejsza zaleta kobiet, to jak zapach dla kwiatów, jak pieśń dla ptaków... to poezja życia... — deklamował z przejęciem.

— Poezja życia... — ironizowała — wzniosłe uniesienia... poezja życia! Zmysły.... i raz jeszcze zmysły. W książkach, w powieściach — zdrada małżeńska, obrzydliwa, nieuczciwa — nazywa się poezją, a najszczytniejsze poświęcenia, samozaparcia, samopalenia — najzwyklejszą prozą.

— Kochała się pani kiedy? — zagadnął ją rozbawiony Andrzej.

— Nigdy — odparła szorstko — i jeżeli pokocham kogo, to nie dla jego „męskości"...

Dochodzili do drogi folwarcznej. Pan Andrzej zatrzymał się.

— Nie zajdzie pan do nas? — przymilała się panna Ludka.

— Nie mogę... spodziewam się dziś komisarza ziemskiego.

Objął spojrzeniem obydwie panny i jakby je porównywał: Ludka barwna, różowa, pachnąca, ufryzowana, zalotna, pogodna, Danka — blada, ubrana z surową prostotą zmarszczona, chmurna.

— Gdyby panie mogły zobaczyć się jedna obok drugiej, przyjrzeć się w lustrze, toby pani sama przyznała, że większy urok i poezję ma w sobie kobiecość, niż surowy, twardy obowiązek — roześmiał się żartobliwie.

Panna Ludka spłonęła rumieńcem zadowolenia, brwi Danki ściągnęły się nad chmurnymi oczami jeszcze bardziej.

— Obok róż musi róść w ogrodzie i kapusta — odpowiedziała.

— Do kapusty w każdym razie przyrównać pani nie można — zaprotestowali obaj panowie — prędzej do narcyza — dodał student.

— Nie, z pana stanowczo stuprocentowy poeta. A jak pan poezję pogdzić może z maszynami ciężkiego przemysłu i matematyką? — drażniła go Danka już rozpogodzona.

Młodość ma to w sobie, że łatwo otrząsa się z przygnębienia, więc i Danki smutek rozpłynął się w ciszę zbliżającego się wieczoru.

Pan Andrzej pożegnał się, obiecując wpaść nazajutrz. Gdy jeździec i koń zniknęli za drzewami drogi, Ludka pieszczotliwym ruchem przysunęła się do Danki.

— Moja droga ,niech pani nie pyta nigdy Andrzeja o jego pobyt w Bolszewii... Halka gniewała się na mnie, że się wygadałam, bo to jest wielką rodzinną tajemnicą. Gdyby się dowiedział, że pani wie o tym, byłby na mnie więcej jeszcze rozżalony, niż Juliuszowie, a tegobym nie chciała, bo...

Umilkła, spojrzawszy na idącego obok studenta. Wchodzili do bramy.

— Panie Leonie, chodźmy nad staw, powozi mnie pan łódką...

Rozpromienił się biedny chłopak na tę propozycję. Ujął jej rękę i pocałował delikatnie na różowo wymanikirowane paluszki.

— Chodźmy.

Danka szła wprost do domu. Zgasło w niej rozbawienie z przed chwili, ustępując na nowo miejsca przygnębieniu.

Więc to musiało być sekretem, ten jego pobyt w Rosji... Na pewno był on inaczej ucharakteryzowany, niż teraz — myślała.

Nie bądź głupia — bronił się rozsądek, — oszalejesz, jeżeli w każdym obcym mężczyźnie widzieć będziesz zamaskowanego bolszewika, czyhającego na twą zgubę. — Muszę poprosić doktora, o brom — zadecydowała.

Wesoło było przy podwieczorku w Ciemierzewie. Głośne wybuchy śmiechu rozlegały się po całym ogrodzie, a najczęściej dźwięczał sopran panny Ludki. — Prócz pana Andrzeja przyjechali sąsiedzi: dwóch starszych panów Kryzowskich, kawalerów i młody Łazowski, ich siostrzeniec.

Patrzyli oni wszyscy z upodobaniem na pannę Ludkę, więc promieniała. Czuła się królową w tym gronie adoratorów.

Na Dankę nikt nie zwracał uwagi. Siedziała obok młodszego Kryzowskiego spokojna, chłodna, milcząca, — W pewnej chwili uśmiechnęła się do siebie.

Widząc rozbawienie Ludki, i wonne kadzidła pochlebstw, jakimi darzyli ją panowie, przypomniała sobie bale w Bolszewii, i ten zachwyt, który tam wzbudzała.

Wszystko na świecie zależy od okoliczności, warunków, środowiska. Ta sama Ludka w innym, obcym otoczeniu, w roli biuralistki lub nauczycielki, w towarzystwie innych młodych, ładnych panien, zgasłaby, odrazu, siedziałaby niezauważona, jak ona, Danka.

— Wiem, o czym pani myśli — dobiegł ją głos Andrzeja.

Patrzył na nią roześmianymi oczyma.

— Wątpię — odparła bez śmiechu.

— Powiedzieć? — zapytał tonem żartobliwej groźby.

— Owszem, proszę — odpowiedziała chłodno, choć dreszcz przebiegł ją wzdłuż krzyża.

— Analizowała nas pani... i te oczy drwiące, to spojrzenie domyślne... to wszystko odnosiło się do nas.

— Z panny Danki surowy krytyk — wtrąciła panna Ludka, zazdrosna o każde słowo Andrzeja, wymówione do innej.

Starszy pan Kryzowski spojrzał po raz pierwszy na Dankę. „Niczego ta nauczycielka" — pomyślał sobie i skwapliwie podsunął jej poziomki.

Zirytowało Dankę i lekceważące odezwanie się panny Ludki i drwiące spojrzenie Andrzeja.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

48)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Gdzie się pani spotkała z Sylwią i gdzie ją pani opuściła? — zapytała wreszcie trwożnie.

— Opuściłam ją wczoraj o 8 z rana — odpowiedziała Ida i zaczęła pani Herbert szczegółowo opowiadać o wszystkich przygodach i przejściach Sylwii. Zapewniała ją wielokrotnie o poczciwości Silasa, który sam stał się ofiarą wyrafinowanego oszusta.

— Ale dlaczego on nie uwolnił Sylwii? — zapytała pani Herbert zirytowana.

— Bo ten łotr, który córkę pani w sanatorium umieścił, mówił Silasowi, że ona jest obłąkaną — odparła Ida — i zaczęła znów szczegółowo opowiadać z jakim wyrafinowaniem się ten Cohen zabrał do rzeczy.

Oburzenie pani Herbert nie miało granic.

— Ten Cohen, to pewno sam pan baron Sturmfeder! — Ten człowiek jest naszym złym duchem. On jest sprawcą wszystkiego nieszczęścia, które nas spotkało!

— Niech się pani uspokoi, prosiła ją Ida — ciosy nawiedzające panią tak są już ciężkie i liczne, że muszą wreszcie ustać, a po nich znów nastąpią szczęśliwsze dni. Jutro już będzie pani mogła uściskać swą kochaną, a tak dawno niewidzianą córkę!

— Daj Boże! — rzekła pani Herbert z zapałem.

W tej chwili weszła gospodyni proboszcza i przyniosła na tacy przekąskę. Ida musiała jej po raz drugi wszystko opowiadać, a poczciwina dziwiła się, że się na świecie takie rzeczy dzieją!

— Co też ksiądz proboszcz na to powie! — powtarzała raz po raz — nigdy nie byłabym wierzyła, że są tacy źli ludzie na świecie!

— Możemy dopiero pojechać nocnym pociągiem — rzekła pani Herbert, która na myśl o zobaczeniu córki odzyskała całą dawną swą energię — musimy więc jeszcze trochę poczekać!

Pomyślała wprawdzie o tym, że nie ma ani grosza, ale to nie odebrało jej odwagi.

— Moszko przyszedł i nie daje się odprawić, chce koniecznie mówić z panią leśniczyną — zameldowała dziewka.

Zanim jeszcze pani Herbert mogła odpowiedzieć, wszedł sam Moszko, który w rzeczywistości był bardzo strapiony.

— Całuję rączki wielmożnej pani — powitał on leśniczynę. — Przybywam z dala i usłyszałem dopiero dziś o wielkim nieszczęściu, które panią spotkało. Mam też prośbę do pani i chciałbym z panią sam na sam pomówić!

Gospodyni bardzo się o to obraziła i mruknęła coś pod nosem o tajemnicach i t. d., została jednak z Idą w pokoju.

— Wielmożna pani — rzekł znów Moszko — pani zawsze taka dobra dla mnie była, że nieszczęście pani mocno mnie martwi. Straciła pani wszystko co tylko miała i teraz pewnie potrzebuje pani pieniędzy. Proszę przyjąć ode mnie na razie 500 zł, jako pożyczkę, tyle mam właśnie przy sobie!

Mówiąc to wyliczył jej 500 zł na stół.

— Jaki Moszko dobry — zawołała leśniczyna wzruszona — prawdziwy przyjaciel w biedzie! Jestem bez grosza i trzeba mi właśnie teraz trochę grosza, ale 100 złotych wystarczy zupełnie.



Na zdjęciu japoński okręt admiralski Idżuma, który bierze udział w akcji bojowej pod Szanghajem.

— Sto złotych? — powtórzył Moszko — to się zdaje, że jest dużo, ale jak się tylko coś zacznie kupować, to człowiek dopiero widzi, że to jest nic.

— Nie myślę teraz o zakupach — rzekła leśniczyna — chcę tylko pojechać do swojej córki.

— To pani wie, gdzie się panna Sylwia znajduje? — zawołał Moszko uradowany. — Niech będzie dobroć Boska pochwalona! Kiedy pani do niej jedzie?

— Dziś, nocnym pociągiem — odparła pani Herbert.

— Na podróż trzeba dużo pieniędzy, bo nigdy nie można wiedzieć, co się w drodze zdarzyć może — rzekł Moszko — niech więc pani zabierze tych kilkaset złotych.

Ale pani Herbert nie dała się namówić. Wzięła tylko banknot 100 złotowy i wystawiwszy Moszkowi weksel na tę sumę, podziękowała mu za nią serdecznie.

. . . .

— Nie ma za co dziękować — bronił się Moszko. — Wiem, komu to robię i kogo mam przed sobą. Proszę się pannie Sylwii ode mnie kłaniać i życzę wielmożnej pani szczęśliwej drogi!

To rzekłszy, oddalił się stary domokrążca.

Pani Herbert złożyła ręce w niemej modlitwie.

Jeszcze przed godziną była w bezgranicznej rozpaczy i w położeniu bez wyjścia, a teraz padł promień nadziei w rozdarte bólem jej serce. Miała zobaczyć ukochaną swą córkę, uwolnić ją i razem z nią będzie mogła myśleć nad tym, jakby udowodnić niewinność Herberta.

Była tak niecierpliwa, że sobie miejsca znaleźć nie mogła. Każda minuta wydawała jej się wiekiem. Z niepokojem oczekiwała powrotu proboszcza, który był właśnie u chorego.

Chciała się z nim rozmówić i poradzić, bo nie wiedziała sama dobrze, jakie ma kroki poczynić, aby Sylwię stamtąd wydostać i jak się wogóle do tej sprawy zabrać.

Gdy zobaczyła czcigodnego duchownego przez okno, wybiegła na przeciw niego z młodzieńczą żywością i elastycznością ruchów i wtajemniczyła go w swoje plany.

Proboszcz wysłuchał jej z widocznym współczuciem, a gdy skończyła rzekł:

— Odprowadzę panią do sanatorium, bo lepiej będzie, gdy zobaczę, że mają z mężczyzną do czynienia!

Uradowana pani Herbert przyjęła tę propozycję z wdzięcznością i zaprowadziła go do Idy, aby się z jej ust jeszcze bardziej szczegółowo dowiedział o całej tej aferze.

ROZDZIAŁ CLXXXVII.

Przerwany podwieczorek

Jan był widocznie bardzo zadowolony, że go markiz de Lorme wziął w swoją służbę i krzątał się nieznużenie około swego nowego pana. Było to jego ambicją otaczać markiza wszelką wygodą, na jaką się tylko mógł zdobyć.

Odkąd mu markiz powiedział kim jest, Jan z wielką przyjemnością tytułował go po francusku. Spakował swoich kilka łachów w walizę i wyścielił saneczki sianem i kocami, aby markizowi było nazajutrz wygodnie jechać.

Od czasu do czasu przerywał swą pracę i wybuchał tłumionym śmiechem. Z przyjemnością myślał bowiem o tym, że górale z Marii Śnieżnej szukali wszędzie zwłok markiza, podczas gdy tenże siedział spokojnie w jego szałasie.

— Szukajcie dalej! Szukajcie — mruknął — życzę wam powodzenia!

Markiz wątpił zawsze jeszcze w winę Teobalda i powiedział to otwarcie Janowi.

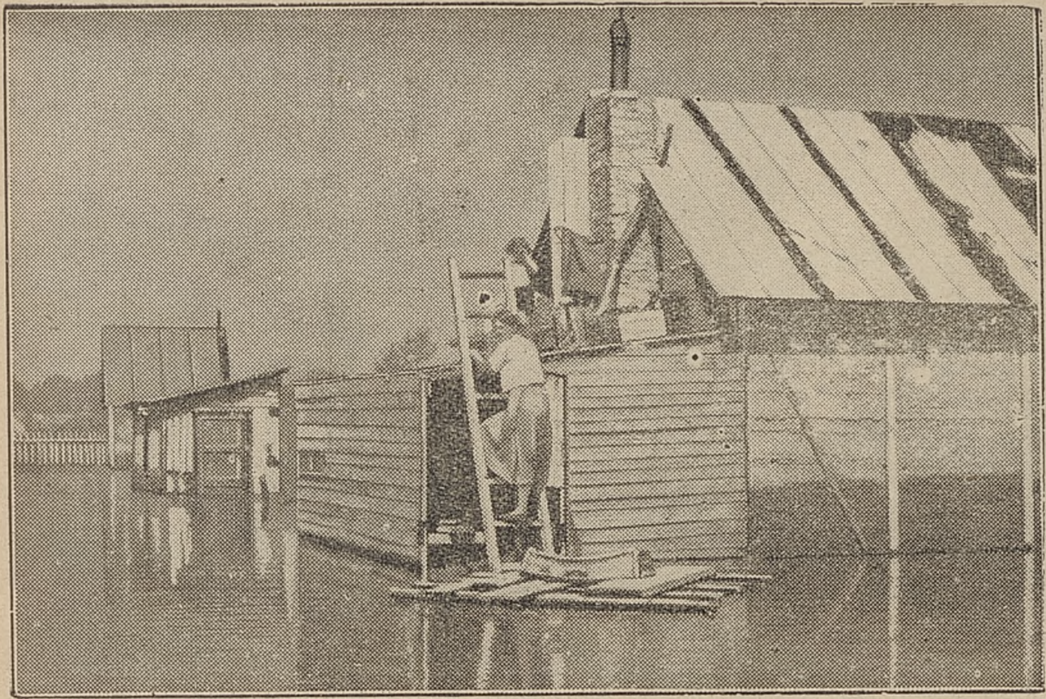
— Widzi pan, panie markizie, rzekł na to Jan — o tym możemy się wkrótce przekonać. Gdy pojedziemy do Wiednia, pójdę do jednej ze służących państwa Hanów i zaręczę się z nią. Ona mi już powie, czy jaka służąca wytrzymała tam 20 lat.

— Mógłbym się o tym sam dowiedzieć u mojej gospodyni, pani Spiller — rzekł markiz — bo ona żyje z Hanami w przyjaźni.

— Czy ta gospodyni ma służącą? — zapytał Jan.

— Tak — odpowiedział markiz z uśmiechem — ale wątpię, czy zechcesz z nią wejść w bliższe stosunki, bo Dora jest brzydka, jak grzech śmiertelny.

— Tym lepiej — rzekł Jan — jak brzydka, to nieprzyzwyczajona do pochlebstw i da się łatwo obałamucić. Ręczę, że za ośm dni będę ją miał zupełnie w swej mocy.


Długotrwałe deszcze w Austrii spowodowały wylewy rzek oraz powodzie. Na zdjęciu wieś pod wodą.

Był on taki gorliwy, że markiz cieszył się z takiego służącego, a jego usłużność i dobra nadzieja działały pokrzepiająco na młodego szlachcica.

Gdy się markiz nazajutrz rano obudził, Jan miał już przygotowaną dla niego kawę. Pomagał on swojemu panu przy ubieraniu się, a potem podał mu śniadanie i rzekł:

— Jeśli pan markiz pozwoli, to wyjedziemy zaraz, bo inaczej przyjedziemy bardzo późno do miasteczka.

— Dobrze — rzekł de Lorme — jestem gotów.

Jan wziął walizę na plecy, zgasił ogień na kuchence i poustawiał swoje naczynia porządnie na półce, tak, aby je następny mieszkaniec szałasu mógł używać.

Później pomógł swemu panu przy wsiadaniu na saneczki, otulił go w koce i zaprzęgnąwszy się do saneczek, zaczął markiza ciągnąć po śniegu.

Był on silny i chętny, a miał dzisiaj tylko to jedno życzenie, aby się z nikim nie spotkać.

Dzięki zręczności i rozwadze Jana dostali się nareszcie do doliny, nie spotkawszy dotąd nikogo.

Droga do miasta była stosunkowo cięższa i trudniejsza, ale mimo to dojechali nasi podróżni tam bez najmniejszego szwanku w przeciągu kilku godzin.

Jan zawiózł swego pana do skromnej, ale bardzo czystej gospody, nie do tej, w której markiz przenocował z Teobaldem w drodze do Marji Śnieżnej. Tu dostał od markiza kilka złotych na to, aby sobie kupił porządne czarne ubranie, ciepły płaszcz i cylinder.

Jan oglądnął później swój łatany surdut i musiał przyznać w duchu, że garderoba jego nie bardzo się nadaje do nowej jego posady.

Mimo, że górale tylko rzadko i to bardzo niechętnie rozłączają się ze swoim strojem narodowym, to jednak spojrzał Jan z dumą do lustra, gdy ubrał swe nowe ubranie.

Rosła, okazała jego postać uwydatniała się bardzo korzystnie w tym przebraniu i markiz spostrzegł po raz pierwszy, że jego służący jest bardzo ładnym chłopcem.

Podczas gdy Jan załatwiał swoje sprawunki, markiz spożywał w gospodzie przekąskę.

— Zamów i dla siebie śniadanie — rzekł markiz do Jana — musisz być głodny.

— Za pozwoleniem pana markiza — odparł Jan — musimy się teraz pośpieszyć, bo inaczej spóźnimy na pociąg. Ja mam chleb i ser w kieszeni i to mi zupełnie wystarczy. Sanki gospodarza stoją już przed bramą. Proszę się oprzeć o mnie panie markizie!

Markiz próbował podnieść się sam z krzesła, ale padł na powrót na siedzenie. Dopiero z pomocą służącego udało mu się podnieść. Jan otulił swego pana we futro.

Chcąc wyrównać swój rachunek przed odjazdem, dał markiz kelnerowi dukata, a gdy mu tenże chciał wydać resztę, dał mu de Lorme ręką znak, aby to dla siebie zatrzymał, po czym wyszedł z izby oparty o ramię swego służącego.

Kelner otworzył usłużnie drzwi tak hojnemu gościowi.

Gdy wyszli, zobaczyli przed bramą policjanta, który się Janowi bacznie przypatrywał. Ale on zrobił jak najswobodniejszą minę i zwróciwszy się do markiza, zapytał go o coś po francusku.

— Nie, to przecież nie może być Janek — pomyślał policjant i dla jeszcze większej pewności zapytał się kelnera:

— Kto to są ci dwaj obcy panowie?

Kelner, który jeszcze ciągle robił dygi, mimo, że markiz już poszedł, odparł:

— Czy ja ich znam? To są wielcy panowie. Mieszkali oni w przejeździe u nas.

— Bo ja myślałem, że jeden z nich, to Jan, którego już dawno szukamy — rzekł nieśmiało policjant!

Kelner poznał również Jana, który jako kłusownik sprzedawał dawniej często swoją zwierzynę do ich gospody, ale nie przyznał się do tego, bo nie chciał sobie zepsuć interesu z markizem, który był dla niego nader hojny.

— Ależ, co wam się zdaje — rzekł do policjanta z uśmiechem — jest pewne podobieństwo, ale Janek jest szerszy w plecach i nie taki wysoki. Nie zawracajcie sobie tym głowy. Ten obcy to bogaty pan, który jedzie do Wiednia do cesarza. Nie zaczepiajcie go, bo pożałujecie.

Policjant stał jeszcze przez chwilę niezdecydowany. Było to dla niego bardzo ponętnym zasłużyć na premię, którą wyznaczono za przyłapanie i uwięzienie kłusownika, ale ponieważ nie był pewnym i obawiał się wielkiej bury od swego przełożonego, w razie pomyłki, odstąpił od swego zamiaru i nie zbliżył się do Jana, aby go zapytać o papiery legitymacyjne.

Były kłusownik wiedział dobrze w jakim znajduje się niebezpieczeństwie i swobodny uśmiech na jego ustach był wymuszony.

To też odetchnął o wiele lżej, gdy się ze swoim panem znalazł w wagonie pierwszej klasy i gdy pociąg ruszył.

Markiz Arnold de Lorme jechał wprost do Wiednia, do swego mieszkania u pani Spiller.

We Wiedniu chciał na nowo rozpocząć swoje poszukiwanie za swoją ukochaną.

Tymczasem rodzina Spillerów wykorzystała bardzo praktycznie czas nieobecności markiza.

W dniu, w którym Arnold de Lorme wyjechał, wrócił do Wiednia dawny lokator pani Spillerowej, jakiś komiwojażer.

Odszukał on niezwłocznie swoją dawną gospodynię i zapytał, czy nie mógłby u niej znów zamieszkać.

— Chodzi mi tylko o parę dni — poinformował on panią Spiller — chcę tylko porozumieć się i porachować z domem, dla którego jeżdżę, a w hotelu nie chcę mieszkać, bo mi tam zanadto niespokojnie.

Pani Spiller zawahała się przez chwilę. Pokoje bowiem były wynajęte właśnie, ale ona zanadto była łakoma, aby nie skorzystać z nadarzającej jej się sposobności zarobku.

— Markiz wyjechał — pomyślała — i z pewnością zabawi kilka dni.

Odparła więc słodkim głosem:

— Salon jest już wynajęty, ale jak pan zechce poprzestać na jednym z naszych pokoi, to chętnie go panu odstąpię.

— Na parę dni i to wystarczy — rzekł komiwojażer — każę zaraz przewieźć tu swoje pakunki.

Rzecz była ułożona. — Jegomość sprowadził się natychmiast do Spillerów i przepędził noc wygodnie w łóżku markiza.

Rodzina Spiller była więc ograniczona na gabinet, sypialnię, salon i kuchnię. A tu zbliżał się dzień urodzin pani Spillerowej, który obchodzono rok rocznie proszoną kawą. Zaproszenia były już nawet porozsyłane.

Pani Spillerowa była jednak bardzo mądrą kobietą i nie troszczyła się wcale o to, gdzie umieści swoich gości.

Nadszedł wreszcie uroczysty dzień, w którym pani Spiller ujrzała światło dzienne przed pięćdziesięciu dwu laty.

Zaraz z rana powinszował jej zacny jej małżonek i poparł najserdeczniejsze swe życzenia 100-złotowym banknotem.

Prezent panny Cyli dla matki był bardzo wątpliwej wartości.

Był to haft na poduszkę kanapową, ale nieskończony. Materiał do niej wzięty był na kredyt i to na rachunek pani Spiller. Wreszcie pani Spiller tyle miała tych poduszek, że nawet jedną czerwoną miała schowaną w szafie.

Zbliżała się wreszcie godzina popołudniowa, w której zaczęły się schodzić zaproszone panie. Przynosiły one piękne bukiety i kwiaty wazonowe i wszystkie serdecznie uściskały i ucałowały solenizantkę, życząc jej wszystkiego najlepszego.

Ona zaś wiedziała dobrze, co o szczerości tych życzeń miała myśleć.

Bawiono się wesoło przy winie i tortach, gdy wtem, w sąsiednim pokoju, dały się słyszeć głosy męskie.

Pan Beinling, komiwojażer, obecny lokator pani Spiller, przyjmował u siebie jakiegoś pana, z którym tak długo próbował różne gatunki wina, dopóki się obaj dobrze nie popili i nie pokłócili.

— Panie — irytował się komiwojażer — nie wie pan, co pan mówi.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że ja jestem pijany? — krzyczał jego towarzysz ochrypłym głosem — ja jestem jeszcze chwała Bogu trzeźwy, ale pan jesteś już pod dobrą datą.

Mówiąc to, zbladł jak ściana, chwycił obu rękami za fotel i jęknął:

— Wody! Niedobrze mi jest, mdleję!

Ściana, rozdzielająca oba pokoje, tak była cienką, że pani Spiller słyszała każde słowo. Wbiegła do drugiego pokoju i rzekła:

— Na świeżym powietrzu będzie panu lepiej, chodź pan za mną.

To rzekłszy, wzięła młodego człowieka pod ramię i wyprowadziła go na korytarz.

Szczęściem uczyniła to jeszcze wczas, bo ledwie wyszedł, dostał wymiotów. Gdy tylko napad ustał, zawołała pani Spiller Dorę i kazała jej schlapane miejsce wysypać piaskiem.

Obcy odtrącił panią Spiller i wróciwszy do pokoju, wybełkotał:

— Panie Beinling, pan chce być moim przyjacielem i może pan to znieść, żeby mnie z pańskiego pokoju wyrzucano?

Beinling stanął natychmiast po stronie swego przyjaciela i zapomniawszy kłótni z nim, wstał niepewnym ruchem z miejsca i zawołał z patosem:

— Pani Spiller, to jest mój pokój, za który ja płacę, a panią przecież nie prosiłem, żeby pani tu przychodziła. Proszę siadać, mój przyjacielu i wypić jeszcze jedną szklankę wina.

— Ach, niech wypije nawet jeszcze całą beczkę i na zdrowie mu — zawołała pani Agata szyderczo — tylko nie w moim mieszkaniu, gdyż moje meble są zanadto drogie, i nie pozwalam je w ten sposób niszczyć.

— Co! pani chce mi przepisy robić? — zawołał oburzony komiwojażer — pani zapewne nie wie z kim ma do czynienia. Proszę się natychmiast stąd zabierać.

— Pan jesteś kompletnie pijany i nie ma co mówić — szydziła pani Spiller — mądrzejszy zawsze ustępuje, ale za to co się tu w pokoju zepsuje, zapłaci pan bezwzględnie.

I wyszła z pokoju trzasnąwszy drzwiami.

— Nie pojmuję tego, jak można sobie dać nagadać tyle głupstw, Agato? — rzekła pani Hai, siedząca wygodnie na kanapie — jabym tego bezczelnego człowieka zaraz przepędziła.

— I ja bym to także uczyniła, kochana Selmo — odrzekła pani Spillerowa, której zwykle żółta twarz teraz pozieleniała — ale dziś, gdy mam tyle gości, nie chcę robić zamieszania. Jutro jednak porachuję się z tym indywiduum.

— Indywiduum? — zawołał komiwojażer ochrypłym głosem — dam ja tej starej papryce za to. A teraz na złość starej jędzy zostanę tu i ty, przyjacielu, zostań także.

Wnet potem dał się słyszeć odgłos, jakby upadnięcie jakiegoś ciężkiego ciała na ziemię, a potem brzęk szklanek i flaszek. — Upadł z pewnością serdeczny przyjaciel pana komiwojażera, a upadając przewrócił stolik ze szkłem.



Wspomnienie z atrakcyj utrwalone na kliszy.

Pani Spillerowa przerażona o swoje sprzęty wleciała znów do sąsiedniego pokoju, jak tygrysica broniąca swoje młode przed napadem.

— Bardzo dobrze, że pani przychodzi — odezwał się zimno komiwojażer — niech mi pani pomoże zanieść kolegę na kanapę.

Gdyby był swojej gospodyni kazał zatruć całą jej rodzinę, nie byłby jej mógł gorzej rozgniewać jak tą propozycją.

Wściekła się tak, że zapomniała zupełnie, co była winna swemu dobremu wychowaniu. Przez wąskie, blade jej usta przesuwały się wyrazy obelżywe i ordynarne.

Każde jej słowo było ciężką obelgą.

— Czy słyszysz pan, co mi ta jędza wymyśla? Będziesz pan moim świadkiem — rzekł komiwojażer do przyjaciela.

Ten jednak leżał jeszcze na podłodze i zdaje się, było mu tam wcale dobrze, bo wyśpiewywał arię z jakiejś opery.

Wtem urwał swą artystyczną produkcję z jękiem, oświadczając, że jego koniec się zbliża.

— Chodź tu, moja Agato i nie wdawaj się dłużej z tą hołotą — krzyknęła jej aptekarzowa z drugiego pokoju — para pijaków to nie jest stosowne towarzystwo dla porządnej osoby.

Pan komiwojażer pochwyciwszy te słowa, rzekł ironicznie:

— Chce pani chyba powiedzieć, że ta stara baba nie jest stosownym towarzystwem dla dwu młodych kawalerów?

— Takiemu jak pan człowiekowi z zasady nie odpowiadam wcale — zawołała oburzona do żywego aptekarzowa — zanadto nisko pana cenię, abym mu odpowiadała.

— O, bardzo mi przyjemnie — lekceważył ją komiwojażer.

Wtem ukazała się aptekarzowa we drzwiach i przemocą wypchnęła swoją przyjaciółkę z pokoju zacnych kawalerów.

— Dywan zupełnie jest zniszczony, kochana Agato — rzekła głośno — byłam przy tym jak go kupowałaś i 100 zł za niego zapłaciłaś. Ten pan powinien wynagrodzić szkodę.

— Naturalnie — odrzekł komiwojażer drwiąco — to byłby dobry interes, za wytartą szmatę, która co najwyżej 10 zł warta, wziąć 100 złotych. Smakowałoby to pani?

— Wiem tylko tyle, że nie chciałabym wynajmować pokojów nawet za cenę 100 złotych dziennie — rzekła jedna z obecnych pań — wolałabym żyć skromnie, a tego nie znosić.

— Niech pani nie myśli, że u mnie codziennie coś podobnego się zdarza — rzekła pani Spiller obrażona — to jest jedyny wypadek, że się mój lokator tak niegrzecznie się wobec mnie zachowuje. Od 20 lat wynajmuję już pokoje i dotychczas miałam zawsze bardzo porządnych lokatorów. Proszę sobie przypomnąć tylko tego rosyjskiego hrabiego, który mieszkał u mnie przed 10 laty. Co to był za dystyngowany kawaler!...

Odpowiedź ta podziałała. Twarz damy, która energicznie przemawiała przeciw wynajmowaniu pomieszkań, poczerwieniała jak ugotowany rak morski. Była ona bowiem z tym hrabią w ścisłych stosunkach, a najmłodsza jej córka dziwnie do niego była podobna.

Powstała ambarasująca pauza, podczas której obecne panie patrzyły na siebie znacząco.

Aby przykrą tę pauzę przerwać, zaczęła się pani Bulmann skarżyć na swoje obie służące. Temat ten zajął wszystkie panie i każda z osobna zaczęła wywodzić jeremiady. Bullmannowa opowiadała, ile naczyń jej Jetka w tygodniu wytłukła, ale przekraczała ją aptekarzowa, wysławiając lenistwo i niezgrabność swoich obu dziewcząt.

Taki był ruch, że nikt nie słyszał głosu dzwonka przy drzwiach.

Panie nie zwracały nań uwagę, bo obgadywały swoje służące, a Dora ze swej strony zajęta była podsłuchiwaniem tej konwersacji. Była taka oburzona, że postanowiła donieść każdej służącej z osobna, co ich panie wygadywały.

Aby się zbytnio nie napracować, wynajęła sobie Dora córkę biednej wdowy, mieszkającej w oficynach, do mycia naczyń. Teraz myśląc, że to ona nadchodzi, otworzyła drzwi.



106 świec zapalono podczas uroczystości 106 rocznicy urodzin mieszkanki Prus Wschodnich Wilhelminy Olszewskiej Oto leciwa staruszka w kole rodzinnym.

— Jezus, Marja, to pan markiz — krzyknęła, jak zobaczyła de Lorme z jego służącym. Nie wiedziała co ma z nimi czynić, ale Jan bez ceremonii odsunął ją na bok, wprowadził markiza do wnętrza i sam wszedł za nim.

Gdy markiz otworzył drzwi do swojej sypialni, usłyszał podwójne chrapanie.

Na kanapie leżał towarzysz komiwojażera, blady jak ściana, a w łóżku markiza, spał sam Beinling smacznym snem.

Kiwając głową, otworzył markiz drzwi do salonu, skąd go doszła konwersacja wielu osób.

Ku największemu swemu zdziwieniu zobaczył cały tuzin starszych kobiet, ogromnie wystrojonych i mówiących równocześnie.

Markiz ukłonił się grzecznie i przeprosił po francusku, że przeszkodził towarzystwu. Wyszedł natychmiast z salonu.

Tutaj zobaczył znów kółko młodych uroczych panienek, które się głośno śmiały i chichotały.

Najgłośniejszą zaś z nich była Cyla, ale wesołość jej znikła z twarzy, gdy zobaczyła wchodzącego markiza de Lorme.

— Widzę, że przeszkadzam — rzekł markiz, kłaniając się grzecznie — życzę więc wesołej zabawy i idę. Pójdę z moim służącym do najbliższego hotelu. Może pani będzie tak dobra donieść mi, kiedy znów mogę wrócić do swego mieszkania.

Teraz dopiero odzyskała panna Cyla bystrość swego umysłu.

— Co za ogromna uciecha, że nareszcie znowu widzimy pana markiza — zawołała Cyla, klaszcząc jak małe dziecko w ręce, gdy się cieszy — nieprawdaż, że pan zostanie i zabawi się z nami? Obchodzimy dziś bowiem urodziny mamy w małym gronie przyjaciół i znajomych.

— O, pani zanadto łaskawa, panno Cylo — rzekł markiz z lekką ironią — ale jestem właśnie po męczącej podróży i muszę koniecznie wypocząć. Sypialnia moja zajęta jest przez jakichś dwóch obcych panów, a jadalnię i salon panie łaskawie zajmują. Jestem tym naturalnie bardzo zaszczycony, ale wolę przecież pójść do hotelu.

Skłonił się i opuścił pokój.

Pani Spiller zdrętwiała z przerażenia, a i na twarzy przyjaciółki jej, pani aptekarzowej, odmalował się przestrach i skonfundowanie.

Gdy markiz przechodził przez salon, zapytała go pani Hai.

— Z przeproszeniem pana markiza, czy mój Teobald pojechał wprost do domu?

Aha! — pomyślał Jan — to jest więc matka tego nędznika. Piękne ziółko sobie wychowała!

Głośno zaś rzekł:

— Czy mam zaszczyt mówić z panią Hai?

Pani Hai, która elegancko ubranego Jana wzięła za wielkiego pana, drgnęła z uprzejmym uśmiechem i zapytała z kim ma przyjemność.

— Jestem tylko służącym pana markiza — odpowiedział Jan z zadowoleniem.

Na te słowa znikła uprzejma mina z twarzy wszystkich obecnych pań, które teraz zaczęły spoglądać na Jana z góry.

Jego jednak to z tropu nie zbiło i zwróciwszy się znów do pani Hai, rzekł:

— Co do syna, nie mogę pani niestety dać żadnych informacyj, gdyż mój pan rozstał się z panem Haiem na samym początku podróży i każdy z nich poszedł swoją drogą.

Pani Hai zaczęła drżeć na całym ciele.

Czyżby Teobald próbował wykonać swój diabelski plan, i został przez markiza przyłapany na gorącym uczynku? — myślała. — A może się markiz na nim zemścił i zamordował go? Ale w takim razie nie byłby przecież wracał do Wiednia! — perswadowała sobie.

Ta ostatnia myśl uspokoiła Haiową. Zwróciwszy się do pani Spiller, rzekła ostro:

— Zdaje mi się, kochana Agato, że należy się nam zabrać do domu, wobec powrotu lokatora, który te pokoje zajmuje.

Niech pan zostanie, panie markizie — rzekła zwracając się znów do de Lorme — my już idziemy!

To rzekłszy, wyszła z podniesioną głową, z pokoju, a reszta dam za nią, jak trzoda owiec za swym przewodnikiem.

Mimo że pani Spiller i Cyla starały się je zatrzymać podziękowały gospodyni za gościnne przyjęcie i mile spędzone chwile i opuściły tak pośpiesznie dom, że większa część zapomniała zostawić Dorze napiwek.

Co to za awantura — rzekła oburzona pani Bulmann.

— To tak się dzieje, jeśli się obcuje z osobami, które się trudnią wynajmywaniem pokojów, aby nie umrzeć z głodu — zawołała dawna przyjaciółka rosyjskiego hrabiego, — Już mnie ona więcej u siebie nie zobaczy.

Wszystkie panie przyznały jej słuszność i przez tydzień dotrzymywały nawet słowa, ale po upływie tego czasu wrócił do pani Spiller i obcowały z nią tak często, jak dawniej.

Cyla okazała więcej przytomności umysłu niż jej matka. Zaprowadziła markiza do swego pokoju i poprosiła, aby się przez 5 minut tam zatrzymał, nim się salon dla niego opróżni.

W kuchni zaś wściekała się Dora, że się przez cały dzień napracowała i nic za to nie dostała.

Ani czterech guldenów nie zebrałam za tyle pracy i kłopotu — skarżyła się.

— Uspokójże się, moja duszko — pocieszał ją Jan — i nie irytujcie się, bo to szkodzi piękności!

— Jezusie święty! — krzyknęła Dora przestraszona, też to ten obcy pan! Nie słyszałam pana wchodzącego. Czy panu czegoś potrzeba?

— Przychodzę przedstawić się jako kolega. Jestem służącym pana markiza — rzekł Jan — i spodziewam się, że będziemy żyli w zgodzie, jak dwaj dobrzy towarzysze!

Podali sobie ręce.

— Co za mała rączka! — rzekł Jan z podziwem. — Czyście spokrewniona z panią Spiller? Boście zupełnie podobna do panienki.

Pochlebstwo to zjednało mu serce Dory, gdyż zaśmiawszy się słodko, rzekła:

— Pan tylko tak żartuje!

— Nie, mówię to zupełnie serio! — rzekł Jan, a potem dodał:

— Ale wy na pewno tu zostaniecie! Byłbym nieszczęśliwy, gdybyście ze służby odeszli.

— Chciałam właściwie wymówić — rzekła Dora — ale jeśli sobie pan bardzo życzy, to zostanę.

— Może chcecie iść na służbę do pani Hai — spytał Jan — słyszałem, że tam ma być bardzo wyśmienite miejsce.

— Niech się Bóg zlituje! — zawołała Dora — też to najgorsza służba w całym Wiedniu. Gdyby sobie ta stara wiedźma nie brała dziewcząt z domu sierot, to by żadna u niej ani dwóch ty godni nie wytrzymała!

— Ależ słyszałam, że stara Marta była tam 20 lat — rzekł na to Jan — a to jest dowodem, że tam tak źle być nie musi.

— Kto panu opowiedział tę bajkę — zapytała — Dora — tę bym chciała widzieć, która tam 20 lat wytrzymała! To jest wierutne kłamstwo!

— Słyszałam jednak, że tak było! — obstawał Jan przy swoim.

— No, to zapytam się zaraz swojej — rzekła Dora i wybiegła prędko z kuchni.

Po chwili wróciła triumfująca i krzyknęła już we drzwiach.

— A czy nie mówiłam? Wierutne kłamstwo! Nigdy jeszcze żadna służąca tam 20 miesięcy nie wytrzymała, a cóż dopiero 20 lat!

(Ciąg dalszy na str. 757)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

JESIEŃ I LATO...

Noc musi przyjść, dziecino,
Bo takie już wszechświata prawo —
Niech łzy z twych oczu nie płyną,
Bo czasem jeszcze — już szarą godziną
Szczęście uśmiechnie się łzami.

Wszak jeszcze czasem — późną już jesie-
Wracają cudne, niby wiosny dni (nią
I pustkę życia swym czarem odmienią
I blaskiem swoim szarość opromienią,
A babie lato jak nić szczęścia lśni.

Bo czasem jeszcze wśród czarnego rżyska
Zakwitnie jeszcze świeży, wonny kwiat
I jeszcze czasem przejdzie przez cierniska
Czar nocy, który dziś ci łzy z oczu wyciska,
Strach budząc przed jesienią lat.

I czasem jeszcze wśród jesiennej mgły
Zabłyśnie nowej zorzy żar:
Uwierzysz, że świat nie jest zły,
Że spełnią się wiosenne sny:
W jesieni smutku dojrzysz czar.

Halina Turkówna.

POZDRAWIAM I CZEKAM!...

„Czarnooka Blondynka". Myślę, że znajdzie się i dla Pani jeszcze „maleńki kącik" w „Krainie", jak również i w moim sercu, tym bardziej, iż piszesz, że brak Ci chociaż odrobiny serca i serdecznej życzliwości.

Nie ma sensu rozczulać się nad moją dobrocią etc., etc., Będę taką dopóki będę otrzymywała tak ogromnie kochane listy, jak Twój, Dziewczynko Mała!

A teraz przedstawię Cię naszej „Rodzince".

„Halo! Jestem córką ziemianina, blondynką, mieszkam na prowincji. Mam coś 2 klm. do miasta. Pragnę znaleźć kogoś w „Krainie", który chciałby miłymi liścikami uprzyjemniać mi monotonny tryb życia. Nie tracę nadziei, że się ktoś taki znajdzie — przecież „Rodzinka" jest taka ogromna...

Zasyłam moc pozdrowień wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom „Moich Powieści" i niecierpliwie oczekuję znaku od Nich".

Pięknie to, że chcesz korespondować z nami, lecz racz wpierw szybko nadesłać nam swój dokładny adres, bo gdzież Ci listy poślę??

Pozdrawiam i czekam!

NIE MOGĘ INACZEJ

„Księżniczka Lina". Wiem, że długo muszą „Krainiacy" czekać na odpowiedź, lecz nie poradzę na to, bo muszę wszak kolejno odpowiadać na listy, których codziennie wpływa sporo.

Zadowolona więc Pani z wakacyj spędzonych u krewnych — to dobrze. Wakacje są właśnie po to, aby dawały wypoczynek i zadowolenie.

Brak Pani osoby, która by Ci zastąpiła matkę, utraconą w najwcześniejszym dzieciństwie. Rozumiem to, a równocześnie zdaję sobie wyraźnie sprawę z tego, że nikt, choćby był najlepszy i najtroskliwszy, nie zastąpi jedynego na świecie serca i najgorliwszej opieki — matki! Więc trzeba się z koniecznością pogodzić, nie płacząc i nie narzekając zbytnio, raczej z pogodnym czołem i uśmiechem na ustach patrzeć w świat. I śmiało w niego kroczyć!

Zresztą nie muszę Pani tego sugerować, gdyż sama tak właśnie starasz się czynić. Pozdrawiam Cię i umieszczam Twoje komunikaty:

„Panie Janku Płócienniku — podobają mi się bardzo Pana wierszyki i nowelki. Ślę gorące słowa uznania. Może Pan poświęci, proszę, drobny wierszyk dla mnie lub podyskutuje z moją skromną „personą"?

„Czarnooką Wandę" mile pozdrawiam i proszę o liścik.

Całej „Rodzince" ślę moc pozdrowień, a szczególnie Sympatykom z Ostrowa, Kruszwicy i Śląska.

ZNÓW KTOŚ PUKA

„Kusicielka" Znów ktoś puka do drzwi „Krainki" z nieśmiałą prośbą o przyjęcie. Ciekawi jesteście Czytelnicy? Zatem przedstawiam nową członkinię:

„Jestem szatynką o zalotnym spojrzeniu dużych, piwnych oczu, ocienionych długimi, ciemnymi rzęsami, i według opinii znajomych — ładną i zgrabną dziewczynką. Usposobienie mam wesołe; lubię ciekawe towarzystwo, koncerty, taniec, no — i oczywiście — chłopców z werwą i humorem, gdyż uważam, że radość każdego człowieka odmładza.

Naturalnie, opalona Kusicielko, nie wątpię w to, że zawojujesz kochanych „Krainiaków", nie tylko zaltnym spojrzeniem, ale pogodą swego charakteru, uśmiechem posłanym smutnym i zmartwionym członkom Rodzinki.

Przechodzę teraz do Pani komunikatów.

„Wiarusie — Murzynku" — znamy się! Proszę napisz do mnie, odpowiem z przyjemnością! Ciekawa jestem, czy odgadniesz, kto do Ciebie przemawia. Tymczasem — pa!

„Pozdrawiam „Żołnierzyka z Grodu Lecha" i „Młodego Orła" — możeby do mnie napisali? Ucieszę się bardzo. Dla wszystkich innych Sympatyczek i Sympatyków moc szczerych pozdrowień".

NIE MOGŁAM

„Boluś". „Litery przybiorą kształty, nabiorą życia i mówić będą za mnie". Ty, Droga „Bolusiu" — masz niezwykły dar przekonywania ludzi, czynisz to tak obrazowo, tak plastycznie, że trudno nie przyjąć wszystkiego tak, jak przedstawiasz. Właściwie zamiarem moim było wcześniej odpisać Ci na ten przemiły list, lecz nie mogłam jakoś. Miałam zbyt dużo terminowych listów. A i dziś, kiedy już wreszcie mogę Ci odpowiedzieć — nie rozporządzam również czasem w takiej ilości, jaka byłaby mi potrzebna do rozmowy z Tobą. Tak widzisz bywa!

Lecz jakby nie było, pozwól sobie powiedzieć, że jesteś dzielną Dziewczynką, która w życiu, acz cierpiąc dużo i nieraz narzekając, nie pozwoli sobie na zasklepienie się w sobie, na sobkostwo.

Długo czekał Twój list na swoją kolejkę, więc nie wiem nawet, czy znalazłaś wśród nas kogoś naprawdę zdolnego do głębokiej, szczerej i bezinteresownej przyjaźni. Napisz mi proszę o tym.

Nie wiesz, jaka zadowolona jestem, że zmogłaś w sobie zbyt ostrą niechęć do swej dawnej przyjaciółki. To ładny i godny naśladowania wysiłek z Twej strony. Mogę go tylko pochwalić.

Życzę Ci, abyś znalazła szybko osobę szlachetną, któraby była rekompensatą, zadośćuczynieniem za wszystko. Za smutki, przykrości i za wylane cicho łzy.

Zamieszczam „Bolusia" komunikaty i przesyłam mu radosne uśmiechy.

„Ado Starybrat" — czy zapomniałeś o naszej umowie i przyjaźni? Czemu milczysz — gdzie obecnie przebywasz?

A Ty Leonie N. ze Świby, co porabiasz? Pozdrawiam Cię!

A mój kuzynek Al spod Krakowa, czy nie nudzi się tam? Uściski mu śle ktoś! Kto — wiesz, prawda?

Pellu, czy już jesteś w cywilu? Domyślasz się sądzę, kto pyta.

Wszystkim razem i każdemu z osobna ślę pozdrowienia. Jeśli kto zainteresował się moją osobą, niech skrobnie liścik. Odpowiem. Śliczne pa i uśmiech ślę wszystkim!

DZIĘKUJEMY

„Sentymentalna Lusieńka". Dziękujemy Pani za pozdrowienia nadesłane nam z gór. Chętnie wierzę Ci, że są urocze. Błotnia i Stołowy pięknie rysują się na tym nader szczęśliwie uchwyconym zdjęciu.

Tylko — czy więcej nie mogłaś napisać, Mała dziewczynko? Czekam na długi list, a na razie pozdrawiam i zasyłam siostrzany uścisk dłoni.

„CZY PAMIĘTASZ?"

Czy pamiętasz?...
Już sady kwitły tak ogromnie
I zmierzch wiosenny spływał cicho w mgły
— A na Twe białe skronie
Kwitnący sad otrząsał wonne sny.

I jak w cudownej baśni
W dziecięcym dawnym śnie,
Szeptały coś jaśminy
W wieczornej chłodnej mgle.

I płynął szept bez cienia skarg
Oplatał znów wspomnieniem mnie,
Pieszczotą Twoich ciepłych warg
Wiódł w zapomniane, dawno dnie.

Patrz, już noc szafirem się osłania
Idźmy w zawieje liliowych śnień
Tam z łąk pastusze płyną grania
I zapach świeżych wiosennych tchnień.

A noc wiosenna gorąca
Już kwiaty powoju śpią
Wiatr płatki jaśminu strąca
(A noc taka duszna, pachnąca)
Wtóruje naszym snom...

Już letni wonny świt
Spływał w kwitnący sad
Gdym na Twe białe skronie
Usta w podzięce kładł.

Lecz odszedł baśniowej nocy sen
W jesienny, chłodny świt
(Co się nad ziemią mgłami kładł)
I uniósł dziwny o szczęściu cud
W nieznany daleki nam świat.

I znów jesienne smutne mgły,
I traw przywiędłych kiście
I perły ros, jak ludzkie — łzy,
Srebrzyły zżółkłe liście.

Biały Zwid.

PRZYKRO MI...

„Leśna Rusałka". Tak mi ogromnie przykro, Droga Moja Dziewczynko, że nie mam tych fotek, o które Ci chodzi. Wierz mi, że gdybym je miała, nie omieszkałabym Ci posłać, ale nie mam i doprawdy nie było ich tu. Prawdopodobnie zaginęły w drodze.

Dla mnie to b. przykre i niesłychanie mnie smuci — gdybym je miała, to wiesz chyba bez zapewnień, że nie wzbraniałabym się odesłać.

Życzę Ci dużo dobrego — nieskończoną ilość pomyślności i proszę o niezapominanie „Krainki". Będę niecierpliwie oczekiwała listu od Pani, Miła Moja „Rusałko", a na razie pozdrawiam ciepłym, najbardziej serdecznym uśmiechem.

POZDROWIENIA Z UROCZEGO BNINA

M. P. — Bnin, przesyła nam pozdrowienia z uroczego Bnina.

Miło mi stwierdzić, że list mój do Pani, przyniósł Jej trochę otuchy. Ciekawa jestem, kiedy wróci Pani do domu, gdyż wysłaliśmy Jej tam wylosowaną nagrodę.

Pozdrawiam Panią i życzę dużo miłych chwil.

WIZJA

Puszysta pieszczota modrzewi
I złoto - zielona tęsknota traw...
Smutek żałobą świerków się krzewi
I twarz powleka pokostem bladych barw.

Prostolinijność leśnej alei,
Po obu stronach zaduma hardych drzew...
Nim cisza serca ranę zaklei
Ból się wysączy w bladej nocy zlew.

Bezowocność uchwycenia wrażeń
W kołowrót słowa ująć przelotną nić...
Daleka perspektywa przyszłych zdarzeń
Być zawsze przy niej i dla niej żyć!

„Gladiator".

W SZKOLE

W szarych, szkolnych, starych murach
Siedzi chłopców grupa duża,
Liczą piszą i rysują,
Lub... o szczęściu myśli snują.

Czasem któryś odpowiada,
Inny czyta, inny gada,
Inny znowu nic nie robi,
Scyzorykiem ławkę skrobie.

Inny jeszcze marzy o czymś,
Marzy wciąż, co będzie po tym,
Inny znowu czeka chwili,
Kiedy zegar znów „zakwili".

„Te - Em."

POMYŚLNOŚCI!!

„Marzenka". Droga Nasza Dziewczynko, 20 września wyjeżdżasz do Ameryki — życzę Ci w imieniu całej „Krainki" i swoim szczęśliwej drogi i pomyślności w nowym środowisku! Bądź zdrowią i pamiętaj o nas. Myśl nasza serdeczna popłynie za Tobą i będzie Ci towarzyszyć w drodze oraz na nowym miejscu pobytu.

Pamiętaj też zawsze żeś Polką i katoliczką! Pamiętaj!!

Z DUMĄ MOGĘ POWIEDZIEĆ...

„Dziewczę z nad brzegów Wisły". „Jak już nadmieniałam, mieszkam w cichej wsi na Śląsku Cieszyńskim, otoczonej lasami i pięknymi górami. Śmiało i z dumą mogę powiedzieć, że góry nasze są naprawdę cudne, a kto zna je chociaż troszeczkę, ten z pewnością przyzna mi rację.

Jeżeli jest między Wami choć jedno, które czuje sympatię do cudnych naszych gór i pełnych zapachu lasów beskidzkich, to niech podzieli się ze mną, niech współuczestniczy niejako w moim zachwycie i sentymencie do nich i niech proszę mówi o tym ze mną. A w ogóle piszcie do mnie — tak pragnę pogwarzyć z kimś miłym.

Zainteresował mnie „Lawrence", „Biały Zwid", — może któryś z wymienionych Panów zdecyduje się napisać do mnie? A może „Zrównoważony Jaś"? Tak dawno nic nie pisał, nie słychać go w „Krainie".

Zachwycona jestem oczyma i powagą, jaka bije ze zdjęcia Płóciennika. Nic dziwnego, że pisze takie piękne wiersze — zachwycam się nimi bez miary!

Jeżeli zechcecie, Drodzy „Krainiacy", napisać do mnie, to listy proszę kierować na adres: „Dziewczę z nad brzegów Wisły" poste-restante, Pruchna, Śląsk Cieszyński.

Tymczasem z poszumem wiatru i górskich drzew niech popłynie do Was milutkie pozdrowienie z mego dalekiego kątka!"

Tak ciepło i serdecznie pisze do Was, „Krainiacy", ta miła dziewczynka. Pozwólcie się porwać temu poszumnemu wołaniu z daleka i napiszcie miłe listy w odpowiedzi — niech się cieszy Wasza nowa towarzyszka. Pozdrawiam Panią i czekam na nowy liścik.

GDYBY WCZEŚNIEJ!...

„Sotius". Jakżeż Pan mógł czekać odpowiedzi skoro sam nie pisałeś do nas przez czas tak długi? Przecież nie mogłam wiedzieć, czy mieszkasz tam jeszcze i czy w ogóle interesujesz się w dalszym ciągu „Krainką".

Bo nie przypuszcza Pan nawet, jak ogromnie mi przykro, że list Jego z propozycją odwiedzenia mnie w redakcji przeczytałam dopiero dziś, to jest 6 września. Jak mi szkoda tej przypuszczalnie ciekawej rozmowy z Panem, co nie doszła do skutku. Gdybym była wcześniej otrzymała ten list, to oczywiście nie omieszkałabym odnaleźć Pana na Targach i pokazać mu wszelkie ciekawsze zakamarki Żnina oraz oprowadzić go po naszych zakładach. Powtarzam, że żałuję, iż listu tego nie przeczytałam wcześniej. Ja tak lubię poznawać moich „Krainiaków" osobiście. Często właśnie wówczas mówią mi, jak już pisałam do „Lawrence'a to, czego napisać nie umieliby lub nie chcieli z tych lub innych przyczyn, a co w konsekwencji sprawia im przyjemność lub ulgę.

Zapewne pyta Pan bezsłownie, dlaczego Jego list przeczytałam nie w niedzielę a w poniedziałek — otóż dlatego, że w niedzielę nie pracuję, jako, że należy Boży dzień święcić, no i oczywiście kiedyś odpoczywać.

Na targach byłam, chodziłam tam zresztą często, lecz to nie zmieniło ani nie ułatwiło sprawy, bo nie wiedziałam, że Pan będzie niecierpliwie poszukiwał Pani z numerem „M. Powieści" w ręku. Dodam nawiasowo, że takich było tam dużo, jako że w pawilonie prasy w stoisku naszego wydawnictwa rozdawano masy naszych pism, w tym dużą bardzo ilość „Moich Powieści". Wobec czego wszystkie panie wychodziły rozpromienione i z „Moimi Powieściami" i „Moją Przyjaciółką" w ręku.

Proszę mi napisać, jak się Panu podobały Targi i czy wyjechałeś ze Żnina zadowolony?

Pyta mnie Pan, czy wysłałam omawiane listy w zeszłym roku — sądzę, gdyż wszelką koerspondencję należącą do „Krainiaków" obojga płci załatwiam odręcznie, ale szczegółów na taki długi okres nie mogę zachowywać w pamięci, zbyt dużo mam spraw na głowie.

Wszelkie listy doślę Panu bezwątpienia. A teraz pozdrawiam Pana serdecznie i czekam na sprawozdanie z pobytu w Żninie.

WOŁA PUSZCZA...

„Dor — On". Dziękuję za pozdrowienia, które szczerze odwzajemniam. Cieszy mnie, że nawiązał Pan już kontakt z członkami „Krainy" i że zadowolony jesteś z rezultatów. Myślę, że będziesz się czuł w naszym gronie z każdym dniem lepiej — życzę Panu tego. Poniżej umieszczam Twoją, że tak powiem, inwokację do Pomorzanek. Skutek będzie piorunujący — nie sądzisz?

„Halo! Urocze Pomorzanki — dlaczego milczycie. Przecież woła Was puszcza, a Wy nie śpieszycie. Przecież piękne, wesołe tam życie! Tam siła młodości i zdrowie, więc trzeba o tym pomyśleć, w tę stronę się skierować. Ja czekam na znak jakiś, na słowo!!!

Przesyłam serdeczne pozdrowienia z dalekiego Pomorza „Maryli z Leszna", „Białej Różyczce", „Reni z Mogilna", „Radioabonentce" i wszystkim „Krainiakom".

NA SZCZĘŚLIWE ŻYCIE!

„Dziewczynka z Kujaw". W niedzielę, 19 marca zacznie i spełni się Twój wielki i ważny dzień, Dziewczynko Droga — życzę Ci szczęścia i pomyślności nie tylko na ten dzień jeden, lecz na całe długie i koniecznie szczęśliwe życie.

Bądź zawsze dobra i słodka dla otoczenia i dzielnie znoś przykrości codziennego życia, Mała Promienna Dziewczynko, a przede wszystkim pamiętaj nadal o nas — o tej szerokiej „Rodzince", która Cię kocha!!

Tekacz Wujka Janusza

NIE ZDĄŻYŁEM

„Blanka". Tak mi przykro, że nie zdążyłem odpowiedzieć w terminie oznaczonym przez P. Teraz zapewne wróciła Pani już z Powidza. Oh, no — nie pogniewaŁaś się chyba na życzliwego Ci Wujka i nie wydmiesz pogardliwie usteczek, gdy dziś dopiero ujrzysz list do siebie i ten wierszyk, co miał być upominkiem w dniu imienin miłej Ci osoby. Tak bardzo zależy mi na Pani uśmiechu, który potrafi rozjaśnić mi wszystkie listy leżące na biurku i mówiące słowami przeważnie bólu i troski. Krążą te skargi nad moją głową, zapełniają, zgęszczają powietrze, którym oddycham pochylony przy pracy i gnębią, gnębią.....

A niech no nadejdzie taki biały arkusz, zapełniony dużym, równym, eleganckim (niech to tak określę) pismem i niech w nim wyczytam te wszystkie ciepłe, miłe, a bodajże nawet ganiące mnie z tej lub innej racji słowa — odrazu zgnębienie umyka na Hawai, a na forum myślowe z gracją wypływa otucha i taka jakaś beztroskość.

Przyczyniają się do tego walnie przemiłe i zręczne wierszyki Pani, Moja Przyjaciółko.

Z komunikatów zamieszczam tylko te, które nie straciły na aktualności.

„Mała Mery" — zapomniałaś Siostrzyczko? Pisz, ja czekam!

„Żołnierzykowi z Grodu Lecha" dziękuję serdecznie za list. Charakterystyka jednak daleko odbiega od rzeczywistości. Jest może zbyt pochlebna — nie jestem taką. Chcąc Panu zaoszczędzić ewentualnych rozczarowań, wolę list pozostawić bez odpowiedzi. Proszę się nie gniewać, że czynię tak, a nie inaczej.

NIE ZAPOMNIJ!

„Zbłąkana Gwiazda". Najmilsza „Gwiazdeczko"! Cieszę się na ten zapowiedziany liścik! Nie zapomnij dołączyć do niego również kilku nowych wierszyków, bo z ostatnio nadesłanych wybrałem do druku tylko „Żal mi szczęścia"...

RÓŻE

Śmieją się do mnie przepiękne kwiaty
Cudowne róże z Twego ogródka,
Budzą mnie codzień swym aromatem,
I pocieszają mnie w moim smutku.

Kocham te róże tak, jak i Ciebie,
Wonne ich płatki do ust mych tulę,
Tak się widokiem ich pieścić lubię,
W nie składam troski moje i bóle.

I dziś znów cudne szkarłatne róże,
Promienieją słońcem i rubinem,
Może mi szczęście nowe wywróżą,
Może troski i bóle me zginą!

Śmieją się do mnie i pachną róże,
Niosąc mi od Ciebie pozdrowienia,
A ja się śmieję z nimi i wierzę,
Że życie znów się w bajkę zamieni.

„Blanka".

BĘDĘ CHĘTNIE OCENIAŁ

„Wirryt". Pisze mi Pan, że nie będę teraz miał spokoju, tak mnie zarzucisz swoimi pracami. Ależ owszem! Z największą przyjemnością będę przeglądał i oceniał, byle tylko były ciekawe i udolne te Pana tworzywa, — a tak sobie myślę, że będą!

Nowela już była drukowana — co Pan skonstatował i jak dalece jesteś zadowolony?

No, kończę na razie. W najbliższym czasie mam nadzieję otrzymać poważną w wagę przesyłkę z nowym materiałem do oceny.

Oczywiście jestem „uprzejmy" i dołączam P. komunikaty:

„Zuch Dziewczyno" — ma Pani zupełną rację. Jechałem w oznaczonym dniu tramwajem nr. 7. Pani jednak niestety nie przypominam sobie!

Serdeczne pozdrowienia Lusi O., „Białej Ujali", H. Czechowskiej i wszystkim „Krainiakom".

JESIEŃ

I znowu lato przeszło jakby strzelił.
Zniknęły z pola łany zbóż wysokie,
Już się skowronek nie będzie weselił,
Zwisając w górze aż hen pod obłokiem.

Znowu tak głucho, pusto, tak szaro,
Jak gdyby słońce przygasło na chwilę.
Przemknęły szybko dni letniego czaru,
I po nich smutku tyle... tyle... tyle...

Już dymy ognisk włóczą się po błoniu,
I głos pastuszej fujarki rozbrzmiewa.
Zbliża się jesień i magiczną dłonią —
Pozłoci liście i zerwie je z drzewa.

Tadeusz Rawicki.

ZAMIESZCZAM

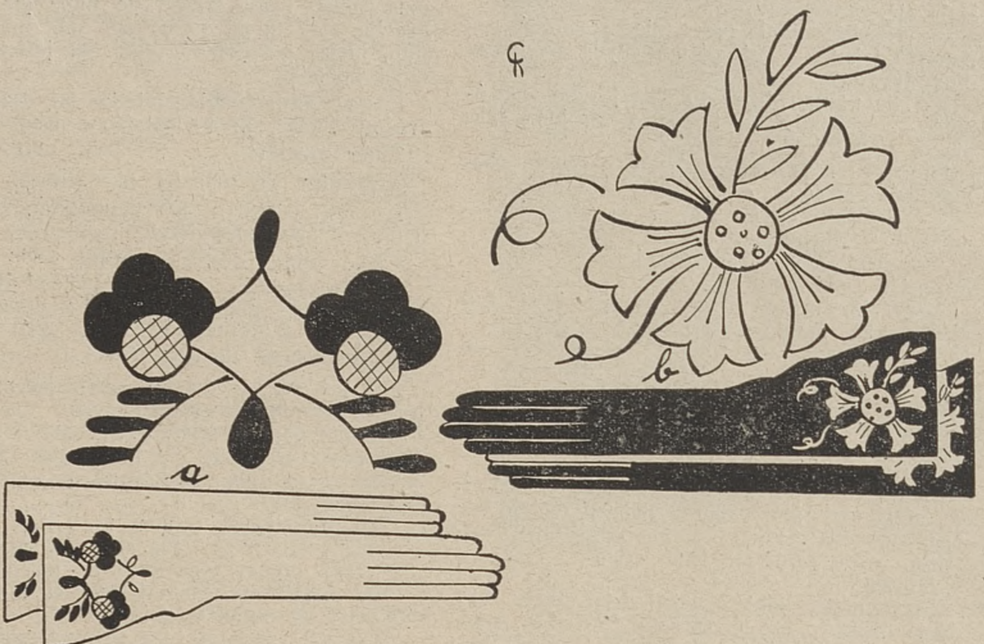
T. Raw. O. Wierszyk Pana p. t. „Jesień" bardzo miły i aktualny — zamieszczam go. Drugiego wiersza — mam wrażenie — nie dołączył Pan do przesyłki, gdyż go nie otrzymałem.

Jeżeli tak było w istocie, to proszę nadesłać dodatkowo.

Dziś otrzymałem dwa ostatnie wierszyki P. Z nich ten zatytułowany „Myśl" rzeczywiście poszedł do kosza, a „U progu jesieni" zakwalifikowałem do druku.

Pani Zofia dziękuje za pozdrowienia, które odwzajemnia bardzo serdecznie. Ja również dziękuję za pamięć i zasyłam przyjacielski uścisk dłoni.

Raj kobiet



a) Modne rękawiczki z haftem na mankiecie, wykonanym w kolorze czarnym, żółtym i zielonym.

b) Czarne rękawiczki do toalety wieczorowej, haftowane srebrem. Haft płaski i wodny.

Zmywanie naczyń bez używania ścierek

Jak wiele udoskonaleń w dziedzinie gospodarstwa domowego, zmywanie naczyń bez używania ścierek pochodzi z Ameryki. Wycieranie talerzy niezawsze czystą ścierką i mycie ich w wodzie, w której pływają resztki potraw i skrzepły tłuszcz — powinny należeć do przeszłości.

Jeżeli chodzi o rondle i garnki kuchenne, to już dawno kucharki po wyszorowaniu nie wycierają ich już ścierką, lecz tylko przewracają na gorącą blachę, gdzie same obsychają. Jednak można zastosować pewne ulepszenia.

Gdy posmarujemy lekko tłuszczem dno garnka, mającego iść wprost na ogień, to chociaż ilość kopcin będzie na nim również duża, sadze dużo łatwiej odstaną. Mówię tu o gotowaniu na węglu lub drzewie. Po ukończeniu gotowania rondel należy opróżnić z resztek, dopiero wtedy go zmywać. Gdyby na ścianach był tłuszcz zastygły, usunąć go należy drewnianą szczotką lub metalową gąbką. Takie przygotowanie zaoszczędzi dużo gorącej wody i garnek będzie zmywany w wodzie, a nie sosie.

Przy rondlach aluminiowych nie należy do ich mycia używać sody, ani bielidła — trochę mydła i szczotką wystarczą. Po umyciu postawić garnki na blasze nieco na ukos, aby powietrze miało dostęp pod spód garnka — same doskonale wyschną.

Patelni, żelazek do wafli i andrutów nie należy nigdy myć. Po użyciu wyciera się je naprzód wewnątrz, potem zewnątrz papierem do sucha. Przed użyciem, o ile patelnia idzie wprost na ogień, dno jej lekko posmarować tłuszczem, co ułatwi odczyszczenie sadzy. Na blasze wywołałoby to nieznośny swąd, na gazie jest to oczywiście zbyteczne. Gdyby wytarcie papierem nie wystarczyło, do odczyszczenia patelni należy nasypać na nią łyżkę soli, podprażyć ją i tą gorącą solą wyczyścić patelnię na sucho.

Do mycia fajansu, porcelany i szkła należy się zaopatrzyć w parę przyrządów. Przede wszystkim stół, w którym zmywamy naczynia, powinien być możliwie niski, ażeby móc przy nim siedzieć, a nie stać. Nawet kto chce tę robotę wykonywać stojąc, mniej się męczy, nie podnosząc rąk przy każdym poszczególnym ruchu. Przed sobą należy mieć dwa naczynia, jedno z ciepłą wodą do zmywania, drugie z bardzo gorącą do ich płókania i podstawę drucianą, metalową lub drewnianą, do ich suszenia.

Kwaśne jabłka nie powodują bólu brzucha

Panuje ogólne mniemanie, że jedzenie niedojrzałych owoców powoduje ból brzucha i rozstrój żołądka. Niedojrzały owoc jest twardy i niesmaczny, dlatego nie można go dokładnie przeżuć. I to właśnie, a nie co innego sprawia, że po spożyciu niedojrzałego jabłka boli brzuch. Rodzice zwracają często swym dzieciom uwagę, by nie jadły niedojrzałych owoców, szczególnie jabłek. Tymczasem nie idzie o to, aby dziecko nie jadało kwaśnego jabłka, skoro mu ono smakuje, lecz o sam sposób jedzenia. Dziecko nie dostanie na pewno bólu brzucha, jeżeli jabłko powoli i dokładnie przegryzie. Nie ma bowiem żadnej różnicy, prócz oczywiście smaku, między jabłkiem dojrzałym, a niedojrzałym. Różnica leży tylko w sposobie ich spożycia, i w tym tkwi tajemnica przykrych skutków, występujących po jedzeniu niedojrzałych owoców.

Świecące szpilki do włosów

Wobec tego, że od czasu do czasu lansowane są w Paryżu pomysły ponownego wprowadzenia mody długich włosów, przemysł paryski powraca do fabrykowania tak dawno zapomnianych już i wycofanych z obiegu szpilek do włosów.

Największą nowością w tej dziedzinie są obecnie w Paryżu t. zw. „świecące" szpilki do włosów. Masa metalowa, z której sporządzone są owe szpilki, zmieszana jest w kunsztowny sposób z jakimś płynem, w którym znajdują się ślady soli, zawierających rad. Szpilki włożone we włosy, przy słabym oświetleniu mienią się interesująco zielonkawym światełkiem. Obudziły one poruszenie wśród Paryżanek „polujących" na każdą nowość. Niejedna z nich dla tych choćby „świecących" szpilek zapuszcza na gwałt długie włosy...

Klub małych kobietek

Gazety amerykańskie przynoszą wiadomość o zawiązaniu w Stanach Zjednoczonych klubu małych dziewczynek w wieku od lat 10—14. Członkinie klubu zbierają się raz na tydzień kolejno u siebie i przynoszą ze sobą lalki. Warunkiem należenia do klubu jest troszczyć się o swoją lalkę tak, jak o żywe dziecko. Lalka musi być codziennie kąpana, karmiona i ułożona do snu zupełnie w tym samym porządku jak żywe boba. Na zebraniach tygodniowych następują oględziny lalek i dziewczynki starsze miewają odczyty lub prowadzą pogadanki o higienie życia niemowląt na podstawie rad i wskazówek odebranych od swych matek. Zobowiązane są także szyć dla swych laleczek bieliznę i sukienki według najnowszych wymagań higieny.

Pomysł prawdziwie amerykański. Kto wie jednak, czy w praktyce nie okaże się dobry. Może z małych kobietek, zaprawionych w takiej szkole, wyrosną wzorowe matki i wychowawczynie.

Świat i życie

Jak człowiek rządzi w morskich głębinach

Cudne i drogocenne skarby kryje morze w swych przepastnych głębinach. Są tam dzikie i bujne wodorosty, ryby najróżniejszych barw, gatunków i wielkości, są tam też i piękne koralowe wyspy, budowane misternie przez maleńkie polipy, których wielkość nie dochodzi nawet do jednego centymetra.

Połów korali znany był już Rzymianom, którzy wymieniali je w Indiach na perły. W późniejszych czasach poławianiem korali najwięcej zajmowała się Francja; wreszcie Włosi zupełnie zawładnęli handlem koralami.

Włoskie miasteczko Terre del Greco jest głównym ośrodkiem połowu korali i handlu nimi. Tam też istnieje specjalna szkoła poławiaczy korali i szkoła wyrobów koralowych.

Z licznych miasteczek, znajdujących się u stóp Wezuwiusza, wypływają wielkie flotyle na miejsca połowu. Doniedawna poławiano korale tylko koło brzegów Afryki, koło wybrzeży włoskich, blisko Sardynii, Korsyki, Marokka i wyspy Zielonego Przylądku. W zeszłym stuleciu zaczęto także poławiać korale przy brzegach Japonii, koło wysp Archipelagu Sudańskiego..

W czasie od kwietnia do sierpnia trwa sezon połowu.

Praca poławiaczy jest ciężka i żmudna. Przyrządy ich są zbudowane z okutych belek złożonych w kształcie krzyża lub gwiazdy, obciążonych potężnym głazem, zwisającym od środka na krótkiej linie. Na końcach krzyża wiszą jak worki, sfałdowane kawałki sieci z grubego postronka.

Przyrządy te opuszczone na dno, targane i pociągane ruchami łodzi omotują wszystko na co tylko natrafią, poczynając od wodorostów, a kończąc na bezwartościowych złomach raf koralowych.

Aparat do naukowego badania dna morskiego, jest bardziej skomplikowany. Pozwala też wydobywać najciekawsze okazy, jakie kryje morze.

Aparat ten zbudowany przez Williamson'a składa się z barki płaskiej, zwanej „Jules Werne", na której umocowana jest wieża i wywiercona studnia. W studnię tę wpuszczona jest rura, przez którą człowiek łatwo może się przesuwać, zakończona otworem do dość obszernej komory, mogącej pomieścić pięciu ludzi. Jedna ze ścianek tej komory jest zaopatrzona w szklaną szybę, co doskonale pozwala obserwować świat podwodny. W tej szklanej komorze, mogą sobie siedzieć ludzie na dowolnej głębokości, oddychać powietrzem dostarczonym specjalnymi wentylatorami, umieszczonymi przy wierzchołku rury, mogą podziwiać cuda morskie, mogą je fotografować, filmować i nawet malować.

Ekspedycja amerykańska, która tym aparatem opuściła się na dno morza, w okolicach wysp Andres Island, wykonała 100 fotografii metod połowu oraz z rał i wysepek koralowych, ponadto zrobiono(specjalny film z życia podmorskiego.

Ze świata

Japończycy chcą się dowiedzieć, jak wygląda „druga połowa" księżyca

Świat naukowy poruszony został niezwykłym konkursem rozpisanym przez uczonych pracujących w obserwatorium astronomicznym Minai, na wyspie Hondo w Japonii. Treść ankiety brzmi: „Jak wygląda druga połowa "księżyca?"

Na najlepszą odpowiedź przeznaczono sumę 10.000 yen. Udział w konkursie zapowiedzieli najwybitniejsi astronomowie, którzy nadeślą swe prace.

Od wielu już lat głowią się uczeni nad tym, jak wygląda księżyc „z drugiej strony". Należy zaznaczyć, że gdy księżyc raz obróci się dokoła ziemi, wykonuje również jeden obrót dokoła swej własnej osi. W rezultacie tego zjawiska mieszkańcy ziemskiego tylko z jednej strony.

PRZEDMIEŚCIE ZIEMI

Odległość ziemi od księżyca jest zaledwie 60 razy większa, niż przestrzeń między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Astronomowie nazywają księżyc „kosmicznym przedmieściem ziemi" ale nikt nie jest w stanie powiedzieć tego przedmieścia.

W rezultacie powstała olbrzymia literatura w tej sprawie. Wiele fantastycznych powieści opiera się na przypuszczeniu, że druga połowa księżyca jest zupełnie inna, niż część skierowana stale do kuli ziemskiej. Niektórzy przypuszczają, że znajduje się tam powietrze i woda, że istnieje tam biblijny raj. Wszystkie te przypuszczenia są jednak oparte na bujnej fantazji.

TEORIA HANSENA

W swoim czasie wielkie poruszenie wywołało twierdzenie astronoma Hansena, że księżyc nie ma kształtu kuli, lecz, jajka. Wydłużona część miała być właśnie ukryta przed oczyma ludzi, a połowa przypominająca kształt kuli, -- skierowana w kierunku ziemi. Hansen twierdził również, że znajdują się tam warunki możliwe dla życia i że tam przebywają mieszkańcy księżyca.

Teoria Hansena utrzymała się przez pewien czas, aż wreszcie astronom amerykański Newcomb dowiódł, że księżyc ma kształt kuli. Rozwiał on również pogląd, jakoby znajdował się tam „raj". Dziś żaden z uczonych nie wierzy już, aby na księżycu możliwe było jakiekolwiek życie.

GÓRY I KRATERY

Inni uczeni dowodzili, że niewidoczna połowa księżyca jest pokryta skorupą lodową. Poszarpany brzeg księżyca miał rzekomo potwierdzić te przypuszczenia. Ale i ta teoria nie wytrzymała krytyki.

Dziś uczeni uważają, że nie ma żadnych przyczyn, dla których można by przypuszczać, iż „druga strona" księżyca odznacza się czymś niezwykłym. Druga półkula naszego satelity jest tak samo pokryta kraterami i łańcuchami górskimi, jak widoczna część.

Nieznaną połowę księżyca można by zbadać tylko „pieszo", gdy w przyszłości uda się rakietą dostać na księżyc. Księżyc będzie zawsze okrążał kulę ziemską tak, że jedna połowa będzie niewidoczna dla ludzi. Gdyby ludziom nie udało się przedostać na księżyc, tajemnica drugiej jego połowy nigdy nie zostanie zbadana.

Uczeni uważają, iż gdy po wielu tysiącach lat księżyc wskutek przyciągania naszego globu zbliży się do ziemi rozpadnie się w kawałki pod wpływem siły ośrodkowej, a wówczas szczątki jego spadną na nasz glob. Wygląd księżyca z drugiej strony nie będzie więc nigdy znany...

Piotr Łastówka.

Eros na rozdrożu

Nieugiętej Loli
mojemu „tabu".

Niektórzy twierdzą, że trzynastka jest liczbą szczęśliwą. Starają się mieszkać pod tym numerem, kierują się nim przy wyborze losu loterii i największe sprawy załatwiają w tym dniu.

Większość jednak unika trzynastki, ucieka przed nią, drży na sam jej widok.

Ilość tych drugich zwiększył od niedawna swoją osobą pan Łucjan. W młodszych latach nie zdawał sobie z trzynastki sprawy, później nie przywiązywał do niej szczególniejszej wagi, uważając, że są to tylko przesądy średniowiecza. Ale w tym roku gorzko jej doświadczył i jest teraz święcie przekonany, że „trzynastka" jest to liczba fatalna.

Pewnego dnia przed wyjściem z biura zwierzył się pan Łucjan przyjacielowi:

— Wiesz, dziś sypię do niej, prosto z biura.

— Radziłbym ci „sypać" lepiej do domu — zgromił go tenże — na to zawsze znajdziesz czas, nie nadskakuj tak bardzo kobietom. Zresztą, jak wiem, masz rodzinę...

— E, co tam — machnął ręką — życie jest krótkie, więc powinno być piękne.

Niebawem biegł już na ulicę Kruczą.

Słońce, bodajże pierwszy raz w tym roku wyjrzało spod ciężkich zwałów zimowych chmur tak jasno i radośnie. Pachniało wiosną. Ruch na ulicach zwiększony, wszyscy weseli, mile uśmiechnięci, jak gdyby dziś dopiero zaczynali żyć. O tak, wiosna zmienia wszystko, nawet te nasze, kochane, stare, oblazłe kamienice, cuchnące odorem śmietników wyglądają żywiej i silniej. I Łucjan czuł się dziś jak nigdy przed tym. W drodze wyobrażał już sobie wspólny wieczór z Krystynką, kolację, miłą pogawędkę i wreszcie szukanie ust, czemu z pewnością przyjdzie z pomocą. Mknął chodnikiem, roztrącając przechodniów, niereagując na uwagi, przez nich rzucane. Uśmiechał się porządliwie...

Jeszcze nie zdążył uporządkować chaosu myśli, a już był na miejscu. Lekko zapukał do drzwi, które po chwili szeroko otworzyła pracownica.

Krystyna siedziała przy maszynie do szycia. Rzuciła spojrzenie ku drzwiom. Nie wzruszyła się, po czym zapytała figlarnie:

— A to co za niespodzianka, po co pan przyszedł?

Łucjan nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie spodziewał się tak obojętnego przyjęcia.

— Doprawdy, co za dziwna kobieta — szepnął — nie można jej zrozumieć. Wciąż tajemnicza, zamknięta... Raz przyjmuje mnie tak, drugi inaczej i zrozum tu, człowieku jej psychikę. O, nie chciałbym na świecie niczego więcej, jak tylko wniknąć i zrozumieć ją. Och te kobiety, kobiety! — westchnął, całując jej rękę na przywitanie.

— Proszę, niech pan siada — wskazała kanapę, a sama powróciła do przerwanej pracy.

Łucjan patrzył pałającymi bezgranicznie oczyma miłości. Siedziała spokojnie, pochylona, przerzucając w rękach materiał. Jasne, puszyste jak jedwab jej włosy bezładnie pokrywały szczupłe, powabne ramiona. Oczy, głęboko osadzone, błyszczały jak dwa ogniki. Lekko poruszała się.

— Niechże pani przestanie pracować — rzucił Łucjan — już późno, chyba wystarczy dnia prawda?

— Nie mogę. Muszę to dziś jeszcze wykończyć — wskazała na tylko co skrojoną suknię.

Oburzyło to Łucjana. Zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Jak ona może? Kpi sobie ze mnie — szemrał w duchu.

Wreszcie pracownicę zwolniła.

Zostali sami.

— Wyjdziemy na spacer — zwrócił się Łucjan — tak ładnie dzisiaj.

— Ja pójdę spać, a pan niech idzie do domu. Późno już, widzi pan, dziesiąta — rozkazująco wskazała zegarek.

— Nie pójdę! Zostanę z tobą! Rozumiesz? Proszę usiąść — dodał łagodniej.

W tej chwili była posłuszna.

Nad głowami zwisały ciężkie gałęzie palmy. Z dziecinnym pragnieniem, jak do matki, Łucjan pochylił głowę ku jej ramieniu. Przytuliła, lekko głaszcząc jego włosy.

Milczeli.

Przypomniał sobie Łucjan lata wstecz, kiedy to pierwszy raz ją zobaczył i od razu pokochał, pokochał wielką, prawdziwą i czystą miłością tak, jak tylko mężczyzna potrafi.

— Powiedz, po co przychodzisz, nie kocham cię przecież, czy nie wiesz o tym? — przerwała Krystyna błogą chwilę spokoju.

— Czuję to od dawna — odparł sucho, z lekką drżącą goryczą.

Łucjan wiedział, że wzajemności nie miał. Braterską przyjaźń tak, lecz mu to nie wystarczało. Ale cóż miał czynić? jeśli pragnął jej widoku, pragnął słuchać jej głosu, pragnął bodaj iść tą ścieżką, po której ona przebiegła. A i łudził się jeszcze nadzieją, że, być może kiedyś, choć po wielu, wielu latach i jej serce obudzi się do niego. W tej chwili tylko wierzył w to, co powiedziała, mimo, że spotykające się usta zwarły się z sobą na długie chwile.

— Dziwi mnie bardzo — odezwał się Łucjan — jak można, nie kochając człowieka, tulić się doń, dotykać jego ust, całować?...

— Pocałunek nie jest jeszcze wszystkim — rzekła rozgniewana za zwrócenie sobie uwagi — to co było, było ostatnie. Proszę to raz na zawsze przyjąć do wiadomości.

— A jednak — dowodził Łucjan — przypomnij sobie to, co powiedział Słowacki, że „pocałunek to ślub dla czystych dziewic".

Zerwała się z miejsca. Nie znalazła na razie stanowczego odparcia.

— Proszę cię, idź, już czas na ciebie, żona czeka, i nie wracaj do mnie już nigdy. Zresztą, jak mogłeś przyjąć ode mnie ten ślub, mając go już od innej. Ja jestem tylko słabą kobietą.

Łucjan spojrzał błagalnie w jej oczy ni to prosząc litości, ni to pałając zemstą.

Znów usiadła.

Przytuliła się mocniej niż zawsze.

— Tak dziecinko, tak mordeczko, zapomnij o mnie, masz obowiązek, rozumiesz?...

Cicho bębnił deszcz o szyby.

— Słyszysz? — wskazała okno — rok 1932. Pamiętasz Łazienki, ulewę i wreszcie pożegnanie na długie lata? — szepnęła boleśnie i nagle znalazła się koło drzwi.

Idź już, idź — dodała rozkazującym tonem, a ręką nerwowo chwyciła klamkę.

On nie odpowiedział. Stanął przed nią wpatrzony jak w obraz. Chciał bronić się, chciał jeszcze przybliżyć, pocałować jej czoło, lecz nie śmiał już.

Tak, musiał iść, jasnem to było.

Ukląkł więc u jej stóp, pochylił czoło i złożył lekki, gorący pocałunek na jej ręce.

Nie ruszyła się. Stała jak wryta, a w oczach pokazały się obficie łzy.

Wreszcie podniósł się. Przestępując próg, jeszcze raz spojrzał błagalnie, lecz drzwi szybko rozdzieliły ich obojga. I Łucjan znalazł się na ciemnych ponurych schodach, po których długo błąkał się nim trafił ku wyjściu.

Padał ulewny deszcz. Odblask latarń rozpościerał żółte smugi światła w kałużach. Łucjan po nich brnął bezwiednie, zdając się całkowicie na to, co go spotka. Pierwszopodzinna pora nocy, pustka na ulicach dawały mu spokój i swobodę błąkania się. Aż wreszcie znalazł się litościwy szofer i odwiózł go już nad samym ranem do domu.

— Tak, — myślał już w łóżku — stało się to wszystko dla tego, że było akurat trzynastego.

Pożegnanie...

— Czyż na zawsze już? Czyżby miał nie zobaczyć jej więcej? Umarła dla niego, jak pisywała nieraz w listach. Chyba nie!?... — zaprzeczał sobie — Życie różnie się układa, a silni zdobywają i osiągają cele.

— Czy ja będę tym silnym?...

I to wszystko o czym Łucjan zdążył jeszcze pomyśleć.



Jesień to okres winobrania. Śmieją się oczy małej dziewczynki do dojrzałych gron.

— No, to mi źle powiedzieli — rzekł Jan obojętnie. — Wiecie co? Przyjdę wam później trochę pomóc. Poczyszczę srebro i co jeszcze zechcecie; ale teraz muszę iść do swego pana!

Gdy opuścił kuchnię, Dora była w bardzo dobrym humorze. Jan podobał się jej bardzo i postanowiła zostać na oazie u pani Spiller i patrzeć przez palce na niejedną niedogodność i niepoczciwość swej chlebodawczyni.

— Panie markizie — rzekł Jan, wróciwszy z kuchni. — Haiowie nigdy nie mieli służącej dłuższy czas w swoim domu. Młody Hai okłamał pana tylko po to, aby pana zwabić w góry i tam zamordować!

— Dam jutro jego koniak do chemicznej analizy — rzekł markiz — i jeżeli się okaże, że domieszał do niego jakiegoś napoju usypiającego, to będzie dowodem, że rzeczywiście miał względem mnie zbrodnicze zamiary. I ten potwór wyciąga ramiona po moją słodką Idę? Gdy tylko pomyślę o tym, że mogłoby mu się udać zwabić Idę w swoje sieci i zmusić ją, aby za niego wyszła, to mógłbym szaleć z bólu.

— Proszę się uspokoić, panie markizie — mitygował go Jan. — Bóg czuwa nad niewinnymi.

— Jego świętej opiece poleciłem też opuszczoną sierotę — szepnął markiz i zamyślił się głęboko.

Był mocno zdecydowany szukać Idy aż do skutku i ożenić się z nią.

ROZDZIAŁ CLXXXVIII.

Zgubiony po raz drugi

W sławnej klinice okulistycznej w Berlinie leżał w zaciemnionym pokoju pacjent z opaską na oczach.

Był to Leon Waldau.

Operacja udała się szczęśliwie; oczy goiły się, ale nie było mu jeszcze wolno narażać się na światło.

Przy łożu jego siedziała Hortensja i starała się nieustannie rozweselać melancholijnego i milczącego chorego i przeszkodzić jego smutnym myślom.

I jej w sercu było niewesoło. Z niepokojem wyczekiwała chwili, w której się miało okazać, czy operacja dała pożądany skutek i czy Leon wzrok odzyska.

Kochająca kobieta drżała przed wyrokiem lekarskim i byłaby chętnie oddała życie, aby uwolnić ukochanego od wiecznej nocy.

Przed Leonem jednak udawała dobry humor i nadzieję. Czegoż nie potrafi potęga prawdziwej miłości?

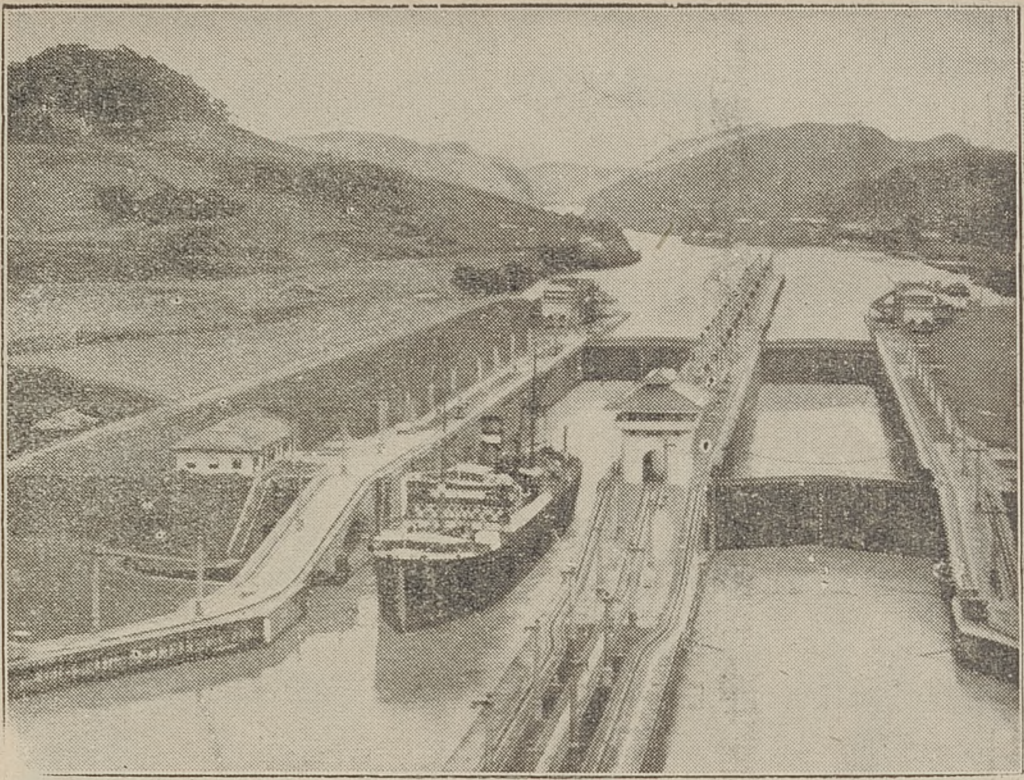
Wreszcie pukanie do drzwi oznajmiło przybycie doktora. Hortensja przywitała go z spokojem mimo burzy, która w niej wrzała.

— Dzień dobry — rzekł lekarz uprzejmie — jak się pani miewa? Dobrze? A pan, panie Waldau, czy czuje pan jeszcze ból w oczach.

— Nie, panie doktorze — odpowiedział Leon spokojnie, podczas gdy Hortensja z bijącym sercem obserwowała kolejno to doktora, to Leona.

— Proszę raz jeszcze o puls — rzekł doktor swobodnie, aby uspokoić pacjenta i jego żonę. — Całkiem normalny!

Zadowolony jestem z pana, panie Waldau. Tylko żadnej niepotrzebnej nerwowości; bo to tylko może zaszkodzić! Czy życzy pan sobie, abym teraz już zdjął z oczu opaskę, czy chce pan to jeszcze odłożyć?



Fragment kanału Panamskiego, który rząd Stanów Zjednoczonych zamierza poszerzyć kosztem 130 milionów dolarów.

— Wolę się zastosować do pana woli, panie doktorze — odpowiedział Leon spokojnie.

Doktor nic nie odpowiedział, zaszedł tylko pacjenta z tyłu. W chwili następnej spadła opaska i Leon zobaczył Hortensję, która wpatrywała się w niego z wyrazem najgłębszej miłości.

— Hortensjo — krzyknął Leon uradowany, a młoda kobieta padła mu uszczęśliwiona na szyję.

On jednak pozostał spokojny, bo już miał plan ułożony. Był mocno zdecydowany odebrać sobie życie na wypadek chybionej operacji, aby uwolnić Hortensję od ciężaru na całe życie. Ale i na wypadek odzyskania wzroku powziął postanowienie, od którego nie myślał odstąpić.

Gdy się Hortensja po wybuchu pierwszej radości uspokoiła, zbliżył się doktor znów do pacjenta, aby raz jeszcze oglądnąć jego oczy.

Był nadzwyczaj zadowolony i oświadczył, że Waldau odzyskał wzrok zupełnie. Obiecał mu, że wkrótce będzie mógł opuścić klinikę i nakazawszy jeszcze pewną ostrożność, pożegnał się i wyszedł.

Młoda para w bardzo różnym została usposobieniu. Hortensja była pełna radości i szczęścia; Leon zaś poważny i zamyślony.

— O, mój kochany, nie wiesz nawet jaka jestem szczęśliwa, że mogę znów oglądać twoje słodkie, piękne oczęta! — rzekła młoda kobieta uradowana. — Będziesz znów mógł oglądać piękny świat i twoją małą żonkę. O, jakżeż będziemy szczęśliwi!

Tak się o twój wzrok bałam, a teraz i tę troskę Bóg mi odebrał. Przyszłość uśmiecha się do nas! Słońce i szczęście nad nami! O, ciesz że się choć trochę, Leonie, raduj się wraz ze mną!

Zamiast odpowiedzi westchnął Leon głęboko.

— Ty wzdychasz? — spytała Hortensja przestraszona — czy nie ufasz przyszłości? Jakie masz troski i obawy? Zwierz mi się! Nie ukrywaj przede mną niczego!

— Kochanie! — rzekł Leon łagodnie — nie przykładaj wagi do mego westchnienia. Była to prośba do Boga o twoje szczęście!

Ujął obie ręce Hortensji i ucałował je z pokorą, lecz bez cienia namiętności. Hortensję to zabolało. To nie był ten sam Leon, którego poślubiła. Znikła jego wesołość i pewność siebie, i ustąpiła miejsca smutkowi i pokorze.

O, jakże często życzyła sobie Hortensja zobaczyć choć raz wesoły uśmiech na jego twarzy. Byłaby wolała, żeby się gniewał, unosił, niż tę straszną apatję i nieprzyjemny spokój. Chętnie byłaby się przed nim ugięła, bo zawsze jeszcze był jej ideałem i bożyszczem; lecz Leon zmienił się niesłychanie.

Nie był to już ten zarozumiały, pewny siebie mężczyzna, który z miłosną tyranią opanowywał swą młodą żonę; teraz on uginał się pokornie przed jej wolą. Jego niewolnicza uległość bolała ją, jego pokora była dla niej przykrą.

On tarzał się w prochu przed nią, a ona byłaby stokroć wolała, żeby ją znów kochał jak dawniej i jak dawniej wiele od niej żądał. Zalewała się gorzkimi łzami na myśl o zmianie, która zaszła w jej mężu.

I teraz zabolało ją to, gdy Leon ująwszy z uszanowaniem jej ręce ucałował je, jak obraz Ukrzyżowanego.

— Drogi Leonie — rzekła wreszcie nieśmiało — dlaczego całujesz mnie teraz zawsze w rękę? Schowaj sobie to na później, jak będę starą matroną, teraz nie zasługuję jeszcze na tyle respektu. Teraz wolałabym, abyś mnie całował w twarz i usta! Czy mnie już nie kochasz, że tak gardzisz moimi czułościami?

Leon zadrżał na całym ciele; zbladł jak ściana i przycisnął rękę do serca, jakby się chciał przez to opanować i uspokoić. W oczach zaś jego malowała się dzika boleść.

Hortensja starała się go uspokoić żeny bezdźwięcznym głosem — Bóg jest moim świadkiem, żem cię nigdy tak gorąco, szczerze i wiernie nie kochał jak teraz. Jesteś moim Aniołem Stróżem, którego uwielbiam. O, pozwól, abym do nóg twych upadł, bo miejsce u stóp twoich mi się należy.

Rzucił się przed nią na kolana i ukrył twarz swą na jej łonie.

— Hortensjo! — przemówił Leon do pieszczotami i czułymi słowami i od-



W pewnej angielskiej miejscowości letniskowej odbył się konkurs na najpiękniejsze nogi, podczas którego panie zobowiązane były zakryć twarz. Jak widzimy — uczyniły to nader kokieteryjnie.

tąd nie poruszała już więcej tego tematu.

Wreszcie minął czas, który Leon miał jeszcze spędzić w klinice i pacjent opuścił zakład jako kompletnie wyleczony.

Wychodził on już przedtem, czytał i pisał w miarę i nie czuł znużenia. Lekarze zapewniali go, że oczy ma zupełnie zdrowe i nie ma obawy, aby się to kiedyś znowu powtórzyło.

Hortensja przeprowadziła się z mężem swym do hotelu, bo przypuszczała, że nie byłoby mu teraz przyjemnie wracać do Wiednia. Dlatego zrobiła mu pierwsza propozycję, aby zostać jeszcze trochę w Berlinie.

On zgodził się na to ze zwykłą mu teraz uległością.

Tylko, gdy Hortensja zaproponowała objąć jej kasę, sprzeciwił się temu stanowczo i po długim wahaniu przyjął tylko sakiewkę z pieniędzmi, gdyż mu konieczność tego wytłumaczyła.

— Kochany mój — perswadowała mu — pomyśl tylko, jak ja będę wyglądała, gdy wszędzie sama będę wyjmowała portmonetkę. Powiedzą ludzie, żem skąpica, ksantypa i będą mieli słuszność. Załatwianie takich spraw jest rzeczą męża. Weź to więc na siebie, bo ja się nie chcę ośmieszać! Jeśli już nie chcesz całej kasy, to weź przynajmniej portmonetkę z drobnymi na małe wydatki, i miej litość nad twoją biedną żoną!

Argument ten tak przekonał Leona, że przyjął sakiewkę, ale Hortensja spostrzegła z żalem, że ani grosza nie wydaje na własne potrzeby i że decyduje się tylko na najpotrzebniejsze wydatki.

Tak upłynął młodej parze tydzień na zwiedzaniu muzeów, teatrów i koncertów.

Leona to jednak nie rozweselało, a Hortensja patrzyła beznadziejnie w przyszłość i liczyła jeszcze tylko na potęgę swej miłości i na łagodzący, leczący wpływ czasu.

Pewnego dnia była Hortensja trochę niezdrową i prosiła Leona, aby się nią nie krępował i sam odbył zwykły swój spacer. Dotychczas wychodzili bowiem zawsze razem.

Ale bardzo była rozczarowana, gdy się Leon na jej propozycję zgodził. Nazywała się w duchu egoistką i łajała za to, żej jej to sprawiało przykrość, gdy go widziała zbierającego się do wyjścia; była jednak młodą i kochała Leona tak bardzo, że było to dla niej ofiarą rozstawać się z nim choćby na krótki czas.

Leon pożegnał się już z Hortensją i był na wychodnym. Ode drzwi wrócił jednak raz jeszcze, pochylił się nad kanapą, na której leżała jego żona i popatrzył jej w oczy z niewymowną czułością. Potem pocałował ją w czoło i odszedł w milczeniu.

Hortensja wzruszona powiodła za nim czułym wzrokiem. Cieszyła się jego dobrocią i zaczynała wierzyć, że się z czasem wszystko dobrze ułoży.

Po kilku minutach jednak żałowała już, że dała Leonowi pójść samemu. Ból głowy zdawał jej się teraz mniejszy, a samotność tak dokuczała, że byłaby się najchętniej ubrała i pobiegła za nim. Wstrzymał ją od tego tylko wstyd przed mężem.

Wyciągnęła się na nowo na sofie i starała się zasnąć.

Wtem przyszło jej na myśl, że Leon wyrównał dziś rano rachunek hotelowy i że mu tylko kilka marek musiało w sakiewce pozostać.

Robiła sobie wyrzuty, że nie napełniła na nowo sakiewki, ale uspokoiła się myślą, że na ten dzień mu jeszcze wystarczy, a wieczorem ten błąd naprawi.

Tak uspokojona zasnęła.

Zbudziła się już wieczorem.

W pokoju było ciemno.

Hortensja zawołała po imieniu męża, sądząc, że wrócił i nie zapalił światła, przez wzgląd na nią, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Zaniepokojona zadzwoniła.

— Pan nie wrócił? — zapytała służącej.

— Nie, proszę pani, ale ekspress przyniósł list.

Tknięta złym przeczuciem otworzyła list drżącymi rękoma.

Tknięta złym przeczuciem otworzyła list drżącymi rękoma.

Musiała usiąść, by nie upaść.

Zapaliła światło i czytała słowa listu:

Najukochańsza!

To co dziś czynię, pochodzi z najgłębszej, najczystszej miłości do ciebie. Idę, by wrócić. Idę, bo chcę twego, chcę naszego szczęścia. Jesteś taka szlachetna i lepsza, niż inni ludzie, że musisz mieć miłość, godną siebie. Ja teraz nie jestem godny nazywać się twym małżonkiem, z twoich czystych ust brać pocałunki i słyszeć słowa miłości. Bóg widzi, że ja, sponiewierany i spodlony, szczerze żałuję swego upadku. Ale to nie wystarczy. Chcę dać dowody poprawy. Chcę o własnych siłach zdobyć egzystencję, którą już, już prawie raz miałem. Dopiero, gdy będę cię mógł utrzymać własnymi siłami, własną pracą, wrócę do ciebie i padłszy na kolana błagać będę: Bądź znowu moją! Miłość twoja jest dla mnie życiem, niebem, rajem! — A na razie, żegnam cię, najdroższa, najukochańsza. Niech cię Bóg ma w swojej opiece, niech cię ochrania od wszelkiego złego. Wspominaj z miłością i pobłażliwością o tym, który nic nie posiada na świecie, tylko ciebie, do niczego więcej nie dąży, jak do tego, by stać się godnym twej miłości.

Na wieki twój

Leon.

Hortensja przeczytawszy te słowa wyszeptała bezbarwnie:

Straciłam go już po raz drugi!

Potem wydała głuchy okrzyk bólu i padła zemdlona.

ROZDZIAŁ CLXXXIX.

Świetne widoki

Wróćmy do państwa Tulliwerów i Wakerów.

Inez i Fides były naocznymi świadkami niewierności swych małżonków za ścianą w restauracji.

Fides w drodze do domu taka była zrozpaczona, że chciała wskoczyć do Sekwany, ale do wykonania tego bohaterskiego zamiaru nie starczyło jej sił.

Inez nic nie mówiła, ale za to czuła się tym głębiej dotknięta w miłości własnej.

Postanowiła zemścić się na mężu i całą noc myślała o sposobach zemsty.

Nie wymyśliła jednak nic aż do białego rana, gdy Tulliwer wrócił do domu.

Na jego widok zapałała gniewem:

— Jakżeś się bawił u Leonardiego? — zapytała, podnosząc się groźnie z łóżka.

— Śniło ci się coś chyba — odpowiedział zdziwiony.

— Nie udało mi się, bo nie spałam wcale ze zmartwienia! Ty naturalnie w ramionach pięknej Fifi, nie pamiętałeś o tym, że ja tu czekam. Teraz precz mi z oczu!

Zapłakała rzewnie tuląc się do poduszki.

Tulliwer nie był wcale przybity, lecz niezadowolony i zły.

Jakby się tu wydostać z tej chryi? — myślał sobie. — Ciekawym kto jej powiedział. Ale wszystko jedno. Nie przyznam się.

Zbliżył się, udając troskliwość do jej łóżka i mówił czule:

— Dziecko moje! Ty jesteś chora! Co ci jest!? Ja poślę po lekarza. Ty fantazujesz!

— Nie! — zawołała, prostując się gniewnie — jestem zupełnie przy zdrowych zmysłach i na trzeźwo powtarzam ci, że jesteś niewiernym nędznikiem.

— Hm — mruknął Tulliwer — nie pojmuję doprawdy. Czy mnie uszy mylą, czy ty mnie naprawdę obsypujesz takimi obelgami! Aniele mój, co ci się stało!

— Nie jestem aniołem! — krzyczała pani Inez ze wzruszającą szczerością — ale ty jesteś podły nikczemnik! Wiedz, że byłam w restauracji Leonardiego i przez szpary w ścianie widziałam was trwoniących moje pieniądze na kobiety z półświatka! Hańba! Fe, fe!

Fatalnie — myślał Tulliwer, słuchając tego potoku słów — skoro mnie sama widziała, muszę się inaczej wykręcić.

— Dziecko moje! — rzekł pobłażliwie, wiesz sama, że pochodzisz z warstw niższych. Dama dystyngowana do takich ekstrawagancyj męża nie przykłada wagi. U nas w sferach arystokratycznych na takie głupstwa nie zwraca się uwagi. Nie możesz żądać ode mnie, abym ja, syn księcia, pozbył się zupełnie zwyczajów arystokratycznych i z mieszczańską wiernością trzymał się twego fartuszka.

Nie moja kochana. To nie ja zniżyłem się do ciebie, tylko ciebie podniosłem do swojej wysokości. Pokaż, że jesteś godna tego, że sprostasz nowemu zadaniu. Bądź wyższa ponad małomiasteczkową zazdrość i nie krępuj osobistej wolności męża. Zresztą, skąd ty, moja kochana, przychodzisz do tego rodzaju lokalów jak Leonardi?

— Byłam tam z kuzynem na obiedzie — odpowiedziała płacząc Inez, na której długa przemowa męża wywołała wrażenie.

— Co? — zawołał Tulliwer, udając oburzenie — a to mi się podoba! Moja żona, pozwala się zapraszać na obiad do takiego lokalu? To plama na moim honorze! To wstyd dla całej mojej rodziny! To plama na naszym klejnocie szlacheckim i książęcym! Moja żona w lokalu, gdzie tylko kobiety z półświatka bywają? Cóż to za kuzyn! Wymień mi go natychmiast, abym krwią jego zmazał plamę na swoim honorze!

Wzburzony biegał po pokoju, załamywał ręce, rwał sobie włosy z głowy, jednem słowem był wprost zrozpaczony.

Inez sama się zatrwożyła, a równocześnie czuła się podchlebiona tym, że mąż był taki zazdrosny o nią.

— James! — zawołała już zupełnie innym tonem — chyba nie podejrzewasz mnie o nic złego. To naprawdę był nasz kuzyn, Robert Snob. Przecie zresztą nie byłam sama! Fides była z nami! Bob nie byłby nas tam poprowadził, żeby był wiedział, że to nie jest elegancka restauracja. On ma wielki respekt dla nas!

Ale Tulliwer nie dał się tak łatwo uspokoić. Latał jak wariat po pokoju, potem wydobył pistolety i przysięgał, że tego Boba zastrzeli jak psa, następnie siebie, a potem ona będzie sobie mogła chodzić po takich podejrzanych lokalach, ile jej się podoba.

Przytem lamentował, że jego żona, którą pojął z miłości, tak mało pamięta o tym, co jest winna sobie i swemu nowemu nazwisku! Dżentelmanowi wszystko wolno, ale kobieta musi bardzo uważać na siebie.

Inez całej swej wymowy musiała użyć, aby go uspokoić. Teraz ona się usprawiedliwiała, prosiła o przebaczenie i przyrzekała poprawę.

Gdy się wreszcie pogodzili i pocałowali na zgodę, przyszło jej na myśl znowu, co usłyszała ubiegłej nocy.

— A co to było? — spytała — żeś mówił, że musisz się pozwalać wycałowywać zasuszonej starej pannie?



Iście amerykański pod względem ekscentryczności ślub odbył się onegdaj u stóp wodospadu Niagara.

— I to ciebie martwi? — zdziwił się Tulliwer.

— Jakto!? przecież to jasne, kogoś ty miał na myśli! — zawołała Inez podrażniona.

— Ach, teraz rozumiem! — zawołał James z całą pogodą czystego sumienia — ty myślisz, że ja wtedy mówiłem o tobie!?

Mała moja! Przecie nie jesteś starą panną, tylko młodą mężatką! Zapewniam cię, że nie mówiłem o tobie, tylko o kuzynce mojej, lady Margarecie Voltrey. Ma już 50 i kilka lat, ale wita mnie zawsze głośnymi klaszczącymi całusami. Spotkałem ją był właśnie wczoraj i o niej to mówiłem.

Inez uwierzyła tej bajce i zasnęła już potem spokojnie.

Spokój domowy był przywrócony.

U państwa Wakerów rozgrywała się tymczasem podobna scena, z której również małżonek wyszedł zwycięsko.

Nazajutrz wspólna przechadzka załagodziła zupełnie spór i zapieczętowała zgodę i przez kilka dni obie pary były tak szczęśliwe, jak po ślubie.

Potem jednak zaczęły się znowu dawne dzieje, małżonkowie wychodzili zaraz po śniadaniu i wracali nad ranem w różowych humorach. Nazajutrz byli znowu w złych humorach i żony po kilkakrotnie w ten sposób spędzonych dobach widziały, że los ich jest nie do pozazdroszczenia.

Jakże się zdziwiła pewnego razu Inez, gdy jej mąż zaproponował przejażdżkę sam na sam.

Twierdził, że tęskni za nią i jej towarzystwem i chce z nią być sam, bo Fides wciąż a wciąż wtrąca się do rozmowy.

Jechali tak razem przez las buloński i gawędzili ze sobą.

— Jak ty dobrze wyglądasz — zachwycał się James. — To dziwne, jak wy dwie siostry jesteście do siebie niepodobne. Ona mówi, że jest o rok młodsza od ciebie, ale ty jesteś ładniejsza i masz o wiele więcej wdzięku młodości i wiosny. Pamiętam dzień, w którym się poznaliśmy.

Byłem zachwycony tobą. Dystynkcja i wdzięk twój od razu ujęły mnie za serce.

Inez była w najwyższym zachwycie.

— Jak pięknie by to było, żebyśmy sobie tak wiecznie mogli używać tego szczęścia — mówił dalej Tulliwer — ale życie jest nieubłagane i stawia swoje wymagania co do przyszłości. O tej naszej przyszłości chciałem właśnie z tobą pomówić. Jak wrócimy do Londynu, musimy tam mieć dom własny i służbę i ciebie przedstawię królowej, będziemy dawać uczty, rauty i odwiedzać naszych znajomych, bo ja ciebie wprowadzę w moje koła.

Wszystko to jednak będzie bardzo wiele kosztować. Wprawdzie mam moją rentę dożywotnią i twoje procenta są także, ale to nie wystarczy.

Twoje pięćdziesiąt tysięcy dają trzy tysiące rocznie. Ta kwota ledwie wystarczy na twoje toalety. A gdzie wszystko inne!?

— Ależ Boże mój! — przestraszyła się Inez — myślałam, że za trzy tysiące można wspaniale żyć. Cóż zrobimy?

— Miałaś rację! — uspokajał James — można wyżyć porządnie za trzy tysiące, ale ja tobie chciałem dać wszystkie rozkosze życia. Otoczyć cię przepychem, nie odmówić ci żadnej, ale to żadnej zachcianki, ani życzenia, oto mój cel. Aby go osiągnąć, mam plan. Mógłbym być cichym wspólnikiem kolosalnego towarzystwa eksploatacji pokładów węglowych.

Renta będzie kolosalną, kapitał wzrośnie za krótki czas podwójnie, poczwórnie!

— Skorzystaj ze sposobności! — zawołała Inez, chciwa na zyski — ulokuj tam w tym przedsiębiorstwie tych pięćdziesiąt tysięcy, to nasza przyszłość będzie zapewniona!

— Hm — przeczył Tulliwer — zaproponowano mi nawet, żebym stanął na czele instytucji, ale na to kapitał mój nie wystarczy. Na to musiałbym mieć 80 do 90 tysięcy! Ale dochody wspaniałe!

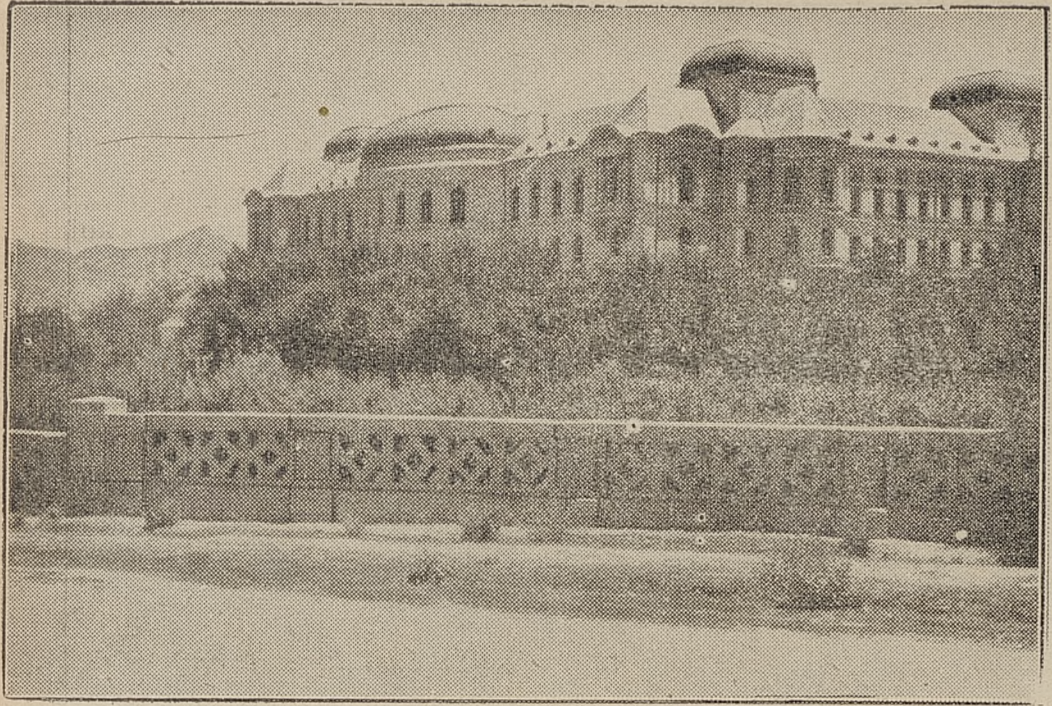
Inez westchnęła.

— Co za szkoda byłaby wypuścić z rąk tak wspaniały interes — wołała Inez — może by ci ojciec pożyczył na czas krótki.

— Dziecko — tłumaczył James — mój ojciec ma majorat, to jest majątek, którego gdzieindziej lokować nie wolno. Ale może twój ojciec...? Naturalnie, że miałby także zyski.

Ojciec jest taki ciężki! — narzekała Inez — z biedą wyprosiłyśmy nasze posagi!

— Znajdziemy drogę do niego! — śmiał się Tulliwer — podam mu adres



Zmodernizowane oblicze Afganistanu.

kupca, u którego zaciągnie informacje co do tego przedsiębiorstwa i sam będzie widział, że to dobry interes. Napiszmy mu dziś i to natychmiast.

— Tak jest, zaraz! — cieszyła się Inez — możemy jeszcze zarobić miliony!

Wrócili do hotelu, ciesząc się różową przyszłością. Szczególnie Inez przez całą drogę upojała się z radości nad przyszłymi bogactwami i obiecywała sobie niezliczone zbytki, które wyliczała z chwalebną cierpliwością.

On słuchał roztargniony, ale chwalił i poddawał jej myśli, które miała zamieścić w liście do ojca, by go nakłonić do zrobienia tego świetnego interesu.

Czekali z niecierpliwością na odpowiedź ojca.

Tymczasem Inez dowiedziała się, że i Waker przystępuje do tego przedsiębiorstwa, ale cieszyła się w duchu, że jej mąż nie będzie tylko zwykłym akcjonariuszem, jak Waker, ale dyrektorem.

Tymczasem wśród uciech teraźniejszości, bo żyli tak szczęśliwie, jak w pierwszych miesiącach po ślubie, otwierały im się na przyszłość świetne widoki.

ROZDZIAŁ CXC.

Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie

Gdy Anastazja wyleczyła się trochę, zjawiła się przed sądem.

Z lamentem wielkim i płaczem skarżyła się na ów napad, który nie tylko pozbawił ją majątku, ale pozostawił jej straszną pamiątkę, bo napady epileptyczne od tej pory powtarzały się często.

Sędzia wysłuchawszy z ust Anastazji opisu rudej Maryni, poznał w niej znaną już skądinąd, a przez policję poszukiwaną zbrodniarkę.

Kochanek jej i pomocnik, znany również włamywacz, kilkakrotnie już siedział w więzieniu.

Cóż to jednak pomogło Anastazji, że sędzia, tak dobrze wiedział, kto ją obrabował.

Złoczyńców nie zdołano schwytać.

Dowiedziano się tylko, że papiery wartościowe, które Anastazji skradziono, dama jakaś elegancka, wcale niepodobna do rudej Maryni, ubrana w grubą żałobę, nazajutrz po owej nocy spieniężyła częściowo w trzech różnych bankach.

Szukano pilnie śladu tej tajemniczej damy.

Usilne poszukiwania wykazały, że z jakimś starszym panem, którego wobec świadków nazywała „tatkiem", wyjechała w kierunku pruskiej granicy na Oderberg.

Anastazja złamana wróciła do domu.

Była tam po raz pierwszy od owego fatalnego wypadku, gdyż w międzyczasie leżała w szpitalu, a wprost stamtąd poszła do sądu.

Gospodarz przywitał ją bardzo nieuprzejmie.

Wymówił jej natychmiast mieszkanie, robił jej wyrzuty, że przez jej nieostrożność dom jego stracił sławę bezpiecznej kamienicy.

Ledwie rozeszła się wieść, że Anastazja wróciła, rozpoczęła się formalna procesja dostawców rozmaitych potrzeb domowych.

Zgłaszali się po swoje wierzytelności piekarz, rzeźnik, sklepikarz korzenny itd. itd.

Wszyscy gwałtownie domagali się zapłacenia rachunku, gdyż perła pokojówek wszędzie brała na rachunek, mimo, że Anastazja zawsze dawała gotówkę do miasta na zakupy.

Nie wszyscy dali się zaspokoić obietnicą, że ona im zapłaci; niektórym gwałtowniejszym musiała się wykupić meblami kosztownymi, przy czym wierzyciele nie mało się obłowili.

Gdy wreszcie została sama w salonie, w którym przeżyła krótkie dni swego triumfu, stanęła jej znowu przed oczy cała jej nędza.

Pieniądze wypuszczone, nieprawym sposobem zdobyte, nie przyniosły jej szczęścia.

Co miała począć?

Odzyskać pieniądze nie miała nadziei.

Trzeba więc było przede wszystkim sprzedać resztę eleganckiego umeblowania; z tej sprzedaży ledwie zaspokoi wierzycieli.

A co potem?

Do służby iść nie mogła z powodu choroby; nikt by nie trzymał w służbie osoby, cierpiącej na epilepsję. Potem błysnął jej przez myśl promyk świeżej nadziei. (C. d. n.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

ուł. S. P.

		te	wo	ta	rem		
		mu	nie	cze	mnie		
rzek	wszak	ła	go	da	a	jesz	mnie
ło	nie	czy	ku	Co	gnie	ze	rą
nie	ła	ło	ciesz	ło	rę	ty	milcz
by	ja	bę	u	je	rc:	ku	czę
		po	by	pod	kur		
		je	dzie	nu	ja		

Ruchem konika szachowego odczytać wierszyk A. Góreckiego. Początek oznaczony jest dużą literą.

Szarada

ułoż. Witold Mataczyński, Łysinin.

Pierwsze z trzecim — słodkie płyny,
Lub też z wiosną w drzewach krążą.
Drugi — to duch bardzo zły,
Co całego sławne czyny,
Aż do Wiednia — hen tam dążą.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 22 bm.

Rozwiązanie zadań z nr. 36 „Moich Powieści": Podwójny Grzebień: 1) Złap 2) Irka 3) Miał 4) Saba 5) Lulu 6) Duma 7) Maks 8) Król 9) Goni. Tajemniczy adres: Liga Obrony Powietrznej Państwa. Bilet wizytowy: Janina Smolińska. Podwójny adres: Ignacy Paderewski — Los Angelos.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Wiśniewska M. — Bydgoszcz, Gralewski Antoni — Katowice, Dębski Zygmunt — Poznań, Dorożyński Wacław — Toruń i M. Pietrzakówna — Leszno.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p. Wiśniewskiej z Poznania i Dorożyńskiemu z Torunia.

Nauczycielka

— Co wy ładnego robicie? — zapytała mistress Whits.

Daisy podniosła główkę.

— Bawimy się w pytania i odpowiedzi, to jest bardzo ładne. Wie pani, mistress Whits? To się tak robi: ja piszę pytanie na brzegu karteczki, potem brzeg zawijam i podaję Essie. Wtenczas ona pisze odpowiedź pod spodem, ale nie wiedząc co ja napisałam. Potem się to czyta i nieraz padają takie rzeczy, że się okropnie śmiejemy. Na przykład teraz, ja napisałam: Dlaczego dzisiaj pada deszcz? a odpowiedź brzmi: Dlatego, że kukułka śpiewała. Prawda? to śmieszne?

Wówczas sir Jerzy wpadł na dziwaczny pomysł, żebyśmy wszyscy tak się zabawili i zabawa rozpoczęła się wprost od Daisy, dumnej, że została naszym mistrzem.

Pytało się więc pytania, a następnie, zaginając karteczkę, podawało się ją swemu sąsiadowi. On wymieniał nawzajem swą karteczkę, poczem czytało się na głos wszystko, pytania i odpowiedzi. Karteczki sir Tomasza i Daisy były najzabawniejsze.

Naraz, karteczka, zwinięta bardzo cienko, jak kuleczka, wpadła do moich rąk. To sir Jerzy rzucił mi ją. Zabawa nie pozwalała czytać pytania przed napisaniem odpowiedzi, a zresztą widziałam błyszczące oczy mego męża wpatrzone we mnie. Drżałam jednak z przestrachu: bałam się, czy sir Jerzy, w napadzie szaleńczego pomysłu, nie napisał czegoś kompromitującego: nie śmiałam przeczytać, a za chwilę na mnie przypadła kolej. Dobra lady Campbell, która obserwowała mnie i widziała wszystko, wyczytała z pewnością rozpacz na mej twarzy, gdyż rzuciła mi prędko i ukradkiem inną karteczkę. Podziękowałam jej spojrzeniem i, nie wiedząc, co robię, upuściłam tamtą.

Nie wiem, co za straszliwe podejrzenie, co za szaleństwo przeszło wówczas przez mózg mego męża: na pewno tak okropna zazdrość musiała go dręczyć, że stracił poczucie swojej i mojej godności. Zwracając się bowiem do mr. Whits'a, który siedział obok niego:

— Majorze, — rzekł — zdaje mi się, że obok pana upadła karteczka. Zechce pan podać mi ją.

Uczułam, jak wszystka krew spływa mi do serca i wydało mi się, że umieram; zobaczyłam, jak major schylił się, podniósł karteczkę, i podał ją memu mężowi. Ten otworzył ją, przeczytał po cichu i uśmiechając się okrutnym uśmiechem, jakiego nigdy nie widziałam u niego, podał mi ją:

— Prawdopodobnie należy ona do milady.

Ale zobaczyłam, że ręka jego, wyciągnięta ku mnie drżała, a oczy błyszczały złością.

Tymczasem zabawa postępowała dalej, ale coś, jakby powiew nieszczęścia, przeszedł nad wszystkimi!

Sir Jerzy, bardzo blady, zauważył wszystko i milczał.

U góry karteczki umieszczone było zwykłe, niedorzeczne pytanie, poniżej, drobniutkim charakterem pisma, wypisane było inne:

„Czy pamięta pani 10 grudnia ubiegłego roku? Był to najpiękniejszy dzień w moim życiu!"

Przypomniałam sobie błyskawicznie; dziś jest smutna rocznica tego strasznego dnia skatingu.

Ach, nieszczęśliwy, ośmielił się przypomnieć mi to? Jak mógł do tego stopnia stracić głowę? A mój mąż, mój mąż, który mnie podejrzewa! Boże, co za okropna męka!

Głowę mam jakby w płomieniach, wyszłam ze salonu, nie żegnając się z nikim i nie wiem już, gdzie się mam podziać. Słyszę jeszcze z dołu świeży śmiech Daisy i Essie, dźwięczny głos naiwnej mistress Whits, która na pewno nie spotrzegła niczego! Ach, jaka ona szczęśliwa! Mąż ją kocha, ona go ubóstwia: żyją w spokoju, bez fałszywych przypuszczeń, bez podejrzeń, bez cierpień!....

Dlaczego ja nie mam tego spokoju? Dlaczego Herbert mnie podejrzewa? Czy ma prawo zarzucać mi to, co jest moim udręczeniem? Dlaczego zaprosił sir Jerzego Lionel, jeżeli wiedział, że on czyha na nasz spokój? Dlaczego jest wobec mnie niesprawiedliwy?

I jeszcze kiedyś, gdy poszłam do niego, nie mogąc dłużej żyć bez jego pocałunku, bez jego zapewnienia o miłości, dlaczego nie potrafił zrozumieć krzyku przerażenia, który biegł do niego z mej biednej duszy, tak udręczonej? Ach, Hercie! ty nie jesteś sprawiedliwy, a ja przecie jestem taka nieszczęśliwa!

...Płakałam nad kołyską Baby, spała spokojnie i cicho, w niezmąconej niewinności swej duszyczki, pokrewnej aniołom. Herbert musiał widzieć światło w oknie nursery, gdyż zeszedł, lecz wyszedł natychmiast. Zobaczyłam go, podniósłszy przypadkiem oczy i zdziwiona i wzruszona pobiegłam naprzeciw niego wołając: Hercie!...

Ale on zamroził mnie swym zimnem:

— Dobranoc, milady! — które wywołało we mnie dreszcz oburzenia.

Tak, on jest niesprawiedliwy, i nie kocha mnie! Powinien był jednak wyczuć mą niewinność w tym rozpacznym krzyku mej duszy, która go wzywała! Powinien był pomyśleć sobie, że gdybym nie była czystą, nie miałabym odwagi modlić się i płakać nad kołyską jego dziecięcia!

O mamo, biedna moja mamo, pomóż mi!... powiedz ty mojemu Herbertowi, że jestem niewinna! Uśmierz rozpacz jego i moją, wróć nam spokój, o mamo święta, dobra, droga, o moja biedna zmarła, która tak kochałaś to twoje nieszczęśliwe stworzenie!.

11 grudnia.

Rozchorowałam się i nie mogłam zejść; właśnie teraz wstałam; Herbert nie przysłał zapytać się o mnie!... Daisy przyszła do mnie i przyniosła mi pozdrowienia od sir Jerzego.

Ach, nieszczęśliwy, który zgubiwszy mnie, śmie jeszcze przypominać mi się! Daisy powiedziała mi również, że Lorenzo źle się czuje i że tatuś był całe rano przy nim.

11 grudzień (wieczór)

Lady Campbell przyszła odwiedzić mnie. Nie śmiałam mówić z nią o tym, co się wydarzyło wczoraj wieczór, ale ona z pewnością wie wszystko i nie uważa mnie za winną. Pieściła mnie długo jak matka, nazywając najsłodszymi imionami, tak łagodnie i czuło, że wreszcie, oparta o jej ramię, rozszlochałam się na długo. Może byłabym lepiej zrobiła, opowiadając jej moje zmartwienia; ona mnie lubi; a Herbert ma dla niej duży szacunek; nie miałam jednak odwagi!

Powtarzałam jej tylko w nieskończoność:

— O milady, taka jestem nieszczęśliwa!

Biedna kobieta! zrozumiała mnie z pewnością, gdyż rzekła mi odchodząc:

— Proszę być spokojną! Przyprowadzę pani Herberta!

12 grudzień.

Niestety! Herbert nie przyszedł; a gdy zeszłam dziś rano, wyjechał już na polowanie!

Drugie wielkie nieszczęście dołączyło się do tamtych. Lorenzo jest bardzo chory; lekarz mówi, że musiał doznać bardzo silnego wstrząsu moralnego, ale nikt z nas nie może zrozumieć, jakiego.

Takie zmartwienie! Spędziłam cały dzień przy jego fotelu, ale nawet nie otworzył oczu. Jaki ból mi sprawiało wysilone charczenie, dobywające się z jego biednej zdyszanej piersi!... A Herbert nie wraca!...

13 grudzień.

Panie, Panie! to zanadto silne! co ja zrobiłam takiego, że tak cierpię?.... Nie mam siły opisywać tego strasznego nieszczęścia, nie mam odwagi uwierzyć w nie.

Lorenzo nie żyje?... Czy rzeczywiście te biedne ręce zastygły w moich? to biedne ciało stężało na smutnym fotelu, co był całym jego światem, a teraz jest grobem? Nie jest snem to wszystko?

I to przeze mnie, przeze mnie umarł? Ach nie, Panie, kielich jest zbyt gorzki! Dlaczego nie oszczędziłeś mi przynajmniej tego ostatniego. strasznego ciosu?...

Nie żyje!... moje biedne dziecko, najwyższe przywiązanie mego życia! I to ja go zabiłam?... Ach, Lorenzo! dlaczego odzyskałeś na chwilę rozum i mowę, by mi zostawić to straszne wspomnienie?

Muszę opisać tę okropną prawdę, aby przekonać się o niej.

Całą noc czuwałam przy mym biednym synku, zapominając o swych cierpieniach w tym nowym bólu, jaki nas nawiedził. Herbert wrócił bardzo późno i zastał mnie, siedzącą w pokoju Lorenza, u stóp jego fotela. Popatrzyliśmy na siebie smutnie, wobec tego biednego dziecka. śpiącego ciągle, ale nie zamieniliśmy ani słowa. Herbert był bardzo blady i wyglądał cierpiąco: wyszedł prędko, ucałowawszy czoło syna.

Och, cóżbym dała za to, by otrzymać ten pocałunek!...

Miałam oczy pełne łez i spazm szlochu porwał mnie za gardło. Herbert spojrzał na mnie, potem wyszedł bez słowa, pochylony, nagle postarzały!...

Smutna noc, spędzona samotnie przy mym kochanym dziecku!...

Więcej, jak godzinę, słyszałam za drzwiami na korytarzu, skradające się kroki, potem, koło świtu, wszedł sir Jerzy cichutko i bez zapowiadania.

Drgnęłam z przestrachu i poczęłam prosić go oczyma, by mnie zostawił samą.

— Tylko słówko, milady, jeżeli pani nie chce, bym oszalał z bólu — błagał klękając z oczyma, łez pełnymi.

Zlodowaciałam z przerażenia! Boży, gdyby Herbert wszedł i zastał nas tak!

— Proszę odejść, proszę odejść — prosiłam, drżąc i wyciągając ku niemu błagalnie ręce.

— Nie prędzej, aż mi pani przebaczy, milady!...

— Przebaczam panu, proszę odejść błagałam.

Chwycił moją rękę i ucałował ję.

W tym momencie Lorenzo otworzył oczy, po dwudziestu czterech godzinach snu. Drgnęłam. Jego ciało wstrząsnęło się nagle, jakby paraliż ustąpił w jednej chwili; w jego szklanym spojrzeniu zobaczyłam odblask silnego cierpienia; mrugnął dwa razy oczami, jak gdyby go blask błyskawicy poraził, po czym z tych biednych, zagasłych prawie oczu, spłynęły dwie łzy.

Ostatnie!

Sir Jerzy zniknął.

— Giannino! — szepnął, nazywając mnie znów, jak dawniej.

Uklękłam obok niego z czcią.

— Giannino! — powtórzył powoli i bardzo cicho — ja wiem wszystko, rozumiesz!

Zadrżałam.

— Co ty mówisz, Lorenzo, co wiesz? błagałam, wkładając w swój głos cały szloch duszy!

— Wszystko! — odrzekł. — Lady Moore powidziała mi wczoraj wszystko!

— Ach, mój Boże! — krzyknęłam przeraźliwie i momentalnie zrozumiałam okropne wydarzenie.

Ta bezcenna kobieta zabiła mi dziecko!...

— Lorenzo, Lorenzo — krzyknęłam mu wśród szlochów — przysięgam ci, Lorenzo, że to nieprawda, zupełna nieprawda! Popatrz na mnie, dziecko moje biedne, kochane, popatrz i osądź, czy mówię prawdę! Lorenzo, ja nigdy nie kłamałam i ty wiesz o tym!... Nie bądź niesprawiedliwy! Na pamięć twej matki, na ojca twojego, którego ubóstwiam....

— O mój biedny papo — przerwał z zamkniętymi ciągle oczami.

— Ależ Lorenzo, Lorenzo! — krzyknęłam znowu, potrząsając nim.

Byłam szalona; nie wiedziałam już co robię.

— Biedny papo — powtórzył — chciałbym go widzieć jeszcze! — tak bardzo go kochałem! Nie powinnaś oszukiwać go, Giannino! On cię tak kocha!...

Chciałam znów krzyczeć.

Ujrzałam jego oczy, wywrócone nagle, jakby szukające światła; jego biedne ręce, poruszające się niespokojnie w próżni... Potem opuścił głowę na moje ramię i skończył.

Umarł! I ja nie oszalałam! Umarł, zabierając ze sobą pewność, że ja jestem winna! dręczony myślą, że ja mogłam zdradzić jego ojca, złamać przysięgi, złożone jemu, matce jego, Bogu i sto razy odnawiane nad jasną główką Daisy!...

Umarł! Ta kobieta zabiła mi go, a ja nie mszczę się, nie krzyczę wszystkim o jej oszczerstwie, nie demaskuję jej podłość, nie karzę okropnej zbrodni! Ach, Boże, Boże! daj mi siłę do życia, do przebaczenia, do wypicia aż do dna tego męczeńskiego kielicha!....

15 grudzień.

Moja biedna dziecina śpi w grobie St. John'ów, obok swej biednej matki, obok dobrej swej ciotki, ale teraz, w niebie, zna już prawdę i oddaje mi sprawiedliwość.

Wszyscy odjechali, wszyscy! Mój Herbert także nie dał się widzieć dziś rano! On jednak powinien był zostać przy mnie; czyż nie po to może złączyły się nasze dusze, by w bólu także być blisko siebie?...

16 grudzień.

Żegnaj, moje biedne życie! Jestem już na pewno bliską wyzwolenia! Czyż mogłabym zostać jeszcze silniej ugodzona?

O mój Herbercie, nie zobaczę cię już więcej? Tak bardzo cię kochałam, czy wiesz o tym? Oby Bóg mógł ci wybaczyć tę okrutną mękę, na jaką mnie skazujesz!...

Sir Herbert St. John do swej żony lady Jane.

15 grudzień 1897.

Giannino!

Pozwól, że raz jeszcze nazwę cię tak, że w tych smutnych chwilach mieć będę złudzenie, że mogę nazwać cię moją przynajmniej ten ostatni raz!... Ach, gdybyś wiedziała, jaki jestem nieszczęśliwy! Gdybyś wiedziała, co zrobiłaś z mojem sercem, z moją duszą, z mym umysłem i z mym życiem!...

Giannino, Giannino! co ja ci kiedy zrobiłem, żeś mnie tak okrutnie zraniła? Ja cię ubóstwiałem!....

Tak, ubóstwiałem cię, jako istotę wyższą od wszystkich kobiet! Ty byłaś dla mnei dobrocią i czystością, ty byłaś jedyna! Och, gdybyś wiedziała, jak okropnym było dla mnie przebudzenie się z tak słodkich złudzeń!...

Biedne, biedne stworzenie!

Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, że ja nie byłem wyśnionym ideałem, twoich dwudziestu lat i że nie mogłaś mnie nigdy kochać? Byłbym wówczas bolał, ale później byłbym pogodził się z losem i na pewno nie cierpiałbym teraz tej okropnej męki, która mnie zabija!...

I pytam siebie samego: jak mogłem łudzić się do tego stopnia?

Ach, tak chętnie oddajemy się szczęściu!...

Głupi! myślałem, że ja sam wystarczę, by zaspokoić pragnienie miłości, tkwiące w twym młodym, drgającym sercu!

O, jakiż byłem głupi!

Ale ty byłaś taka piękna, wydawałaś się taka dobra! Byłem tak dumny z ciebie! Zdawało mi się, że posiadam największy skarb na świecie; że jestem najbardziej godnym zazdrości z pomiędzy wszystkich ludzi!....

Dlaczego mnie tak zdradziłaś? Kto byłby to przypuścił?

Byłaś taka miła!... Jeszcze kilka dni temu, pamiętasz, jak przyszłaś do mnie i ze spontanicznym wybuchem rzuciłaś mi się na piersi? Och, ja sądziłem, że w tej cudownej chwili, niebo się otworzyło przde mną!

O Giannino, dlaczego kłamałaś?

Boże, Boże, zdaje mi się, że oszaleję!...

Widzisz? — ty wiesz, jak kocham me dzieci, wiesz, jak ubóstwiałem przede wszystkim mego biednego Lorenza; a jednak przysięgam ci, że ból po jego śmierci blednie wobec męki, wywołanej twą zdradą!

O moja ukochana!

Tak, pomimo wszystko, bo czuję, że nigdy nie będę mógł zapomnieć o tobie! Gdybyś przynajmniej była umarła, jak ten biedaczek, co leży nieruchomo w swej trumnie: opłakiwałbym cię, ale widziałbym cię czystą i piękną tam w niebie i błagałbym Boga o rychłe połączenie się z tobą!...

Jak mi cięży to życie! Żywa wiara w Chrystusa, jaką posiadam, zabrania mi odebrania go sobie, ale ból przyspieszy chwilę mego wyzwolenia!....

O, najukochańsza!... o uwielbiana a stracona! o istoto, którą w snach swoich uczyniłem największą z kobiet, żegnaj!...

Nie mógłbym już na pewno żyć obok ciebie. Nie mogę już widzieć domu mego. Każdy kamień w Lynn-Castle przypominałby mi ciebie; nawet widok niewinnych główek mych dzieci, które tak często całowałaś, byłyby wieczną męczarnią!

Żegnaj! Pójdę błądzić po świecie, dopóki Bóg nie zawoła mnie do siebie!

Powierzam ci moje stworzenia! ona są jedynym węzłem, który mnie przywiązuje do ziemi, może je przynajmniej kochać będziesz naprawdę! W imię twej wiary i tej nieszczęśliwej miłości, jaką miałem dla ciebie, polecam ci je!...

Bądź dla nich matką! Może ich przywiązanie nie będzie ci ciężyć, jak ci ciężyło moje! Miej litość dla tych niewinnych sierot!

A za to dobro, jakie im wyrządzisz, może Bóg przebaczy ci wielką krzywdę, jaką mnie wyrządziłaś!

Ja już ci przebaczyłem, nieszczęsna

Herbert.

Lady Campbell do sir Herberta St. John w Kairo.

Londyn, 15 maj 1898.

Mój drogi przyjacielu!

Lord Helier powiedział mi, że spotkał pana tam przed miesiącem i dostarczył mi również bardzo skąpych wiadomości co do pańskiego zdrowia. Zechce mi pan darować, że nadużywając naszej starej przyjaźni i głębokiego szacunku, jaki mi pan zawsze okazywał, ośmielam się pisać do pana, by mu się przypomnieć.

Od pięciu miesięcy nie mamy o panu wiadomości i to zaczyna być przedmiotem rozmów w klubach londyńskich, do których pan uczęszczał.

Pańska nieobecność tłumaczy się doskonale bólem po stracie biednego Lorenza, ale u człowieka, o tak silnej i zdrowej organizacji, nawet ból powinien jednak pozwolić przemówić rozsądkowi wobec pewnych okoliczności.

Zresztą, proszę posłuchać, sir Herbercie! Nie ma sensu, żeby między nami były tajemnice i żebym ja szukała pretekstów, by wytłumaczyć ten mój list. Wie pan, że znam doskonale wszystkie bolesne zmiany, jakie zaszły w pańskiej rodzinie w ostatnich dniach naszego pobytu w Lynn-Castle. I właśnie w związku z tym piszę do pana.

Może się pan gniewać, jeżeli chce: korzystam z prawa, jakie mi mój czcigodny wiek nadaje i uważałabym za uchylenie się od mego obowiązku, gdybym milczała.

Byłam w Lynn-Castle piętnaście dni temu i wracam stamtąd dzisiaj. Dziwi to pana? Tak, żona pańska prosiła mnie, by być przy niej w czasie choroby Baby, która teraz, Bogu dzięki, czuje się doskonale.

Otóż, nie wypowiem panu nieopisanego smutku, jaki zaciężył nad waszym biednym domem! Można powiedzieć, że rozpacz założyła tu swe królestwo, by nie wyjść z niego już nigdy.

Ach, sir Herbercie, jakie to straszne, ja byłam tam przed siedmiu miesiącami i na przeciw mnie wyszła istota świeża, piękna, promieniejąca blaskiem nietkniętej, najczystszej młodości. Dom rozbrzmiewał wówczas wdzięcznym i świeżym śmiechem dziecięcym, gęste plamy drzew rozjaśniały różnokolorowe sukienki dzieci, w każdym oknie śmiały się kwiaty, we wszystkich sercach panował słodki i błogi spokój!..

Niestety! jak się to wszystko zmieniło...

Ta sama istota wyszła na me spotkanie, a ja myślałam, że mam przed sobą widmo boleści!...

Trupio blada, ubrana w grubą żałobę, z cudownymi oczami, milczącymi i zgaszonymi od ciągłego płaczu, z wspaniałymi włosami posiwiałymi, tak sir Herbercie, posiwiałymi!...

Wyznam panu, że z płaczem rzuciłam się w te biedne wychudłe ramiona, otwarte dla mnie i rozszlochałam się z bólu, jak dziecko! Ach nie, sir Herbercie! nie jest winną! to jest biedna męczenniczka! Przysięgam panu, ja, która znam życie, brzydzę się występkiem, piętnuję zdradę: Sir Herbercie, sir Herbercie, co pan zrobił!...

Ona nie płakała; ucałowała mnie tylko długo, gorąco i nie powiedziała ani słowa o swych cierpieniach!

Ani jednego oskarżenia przeciw panu, ani jednej skargi! Wspomniałam pana kilkakrotnie, ona zawsze zwracała ku niebu oczy, pełne łez, błagając Boga o błogosławieństwo dla pana! A dzieci z nią razem modliły się co wieczór za dalekiego tatusia, który wróci niedługo, który na pewno wróci!...

(Dokończenie nastąpi.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 19 września 193 r7.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kość. Św. Krzyża w Warszawie — Po nabożeństwie koncert popularny z płyt 11.00 Koncert orkiestry K. Dakowskiego i Adama Furmańskiego 12.03 Idzie jesień... koncert w wyk. Ork. Symf. 13.10 Melodie operetkowe w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Jan Sibelius — płyty 17.00 Podwieczorek z Wystawy Radiowej w Wilnie 18.00 Teatr Wyobraźni „Dwóch nieśmiałych" — wodewil 20.00 Koncert europejski ze Szwajcarii transm. z Zurychu i Lozanny 21.20 „Kilka słów" — groteska (z Krakowa) 22.10 Recital fortepianowy Artura Hermelina.

Poniedziałek, dnia 20 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ludwik van Beethoven, Sonata e-moll op. 90 (płyty) 12.15 Dbajmy o rozwój naszych dzieci pogadanka dla gospodyń wiejsk. 12.25 Gra orkiestra dęta (płyty) 12.40 Od warsztatu do warsztatu — Tapicerzy 16.00 Bajki skandynawskie — aud. słowno-muzyczna dla dzieci 16.20 Koncert ork. Filharm. Warsz. transm. z Ciechocinka 16.50 O kulturze gości i kulturze gospodarzy — felieton 17.05 Muzyka taneczna w wykon. Małej Orkiestry P.R. 18.15 Lucienne Boyer i Tino Rossi śpiewają (płyty) 19.00 Audycja strzelecka 20.00 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 21.00 Walczyk i piosenka — w wyk. Krakowsk. Kwartetu Schrammla z udziałem solisty (z Krakowa) 21.45 Kwadrans poezji — wiersze Kornela Ujejskiego (ze Lwowa) 22.00 Recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej 22.30 Recital śpiewaczy Franciszki Plattówny ze Lwowa.

Wtorek, dnia 21 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół — „Ostatnie ognisko" 11.40 Aleksander Głazunow — fragm. ze scen baletowych op. 52 12.25 Marsze polskie i obce w wyk. orkiestry wojskowej 16.00 Kim jest twój tatuś? — maszynistą kolejowym — transm. z dworca kolejowego w Wilnie 16.20 Utwory fortepianowe na 4 ręce Maurycego Moszkowskiego 16.45 Ziemia pełna historii i soli — felieton z Łodzi 17.00 Transmisja z wystawy radiowej w Wilnie 18.15 Muzyka lekka z płyt 19.00 „Uczciwość" — skecz 19.15 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga 20.00 „Sissy" — operetka w 3-ch aktach 22.10 O Biskupinie w 15 językach świata — audycja z Poznania 22.25 Koncert solistów.

Środa, dnia 22 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Mischa Elman — skrzypce — płyty 12.15 Felieton prawno-społeczny 12.25 Koncert Ork. Filharm. Warsz. 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 16.15 Pieśni górnośląskie w wyk. chóru męskiego „Echo" (z Katowic 16.45 Wydarzenia morskie w Hiszpanii — odczyt 17.00 Stan Golestan: Kwartet As-Dur (z r. 1923) — I wykonanie 17.30 Piosenki w wyk. zespołu wokalnego „Te 4" 17.50 Samochód i jego silnik — pogadanka 18.00 Chwila Biura Studiów 18.15 Melodie filmowe — płyty 19.00 Słynni dyrygenci — 22-ga audycja — Filip Gaubert — płyty 20.00 „Opowieść Króla cyganów" — aud. — aud. muzyczno słowna 21.00 Koncert chopinowski w wyk. St. Szpinalskiego 21.45 „Rodzice i dzieci" — obrazek Wandy Melcer 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Czwartek, dnia 23 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół Najpiękniejsze melodie Moniuszki 11.40 Fragmenty z op. „Jaś i Małgosia" — Englebert Himperdinck 12.15 Koniec konkursów pogadanka dla młodzieży wiejskiej 12.25 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi) 16.00 „Spotkanie" — opowiadanie Benedykta Hertza dla dzieci 16.15 Muzyka salonowa w wyk. Tria Rozgł. Poznańskiej 16.45 Radio w szkole — felieton 17.00 Koncert solistów 18.15 Z operetek Jana Straussa — płyty 19.00 Teatr Wyobraźni: Słuchowisko p. t. „Mężczyzna w damskim kapeluszu" 20.00 Koncert muzyki lekkiej 21.05 Muzyka taneczna 21.45 „Rodzice i dzieci" — obrazek Wandy Melcer 22.00 Muzyka niemiecka — koncert wokalny.

Piątek, dnia 24 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół „W pustyni i w puszczy" — H. Sienkiewicza 11.40 Kamil Saint-Saens: Septet op. 65 — płyty 12.25 Koncert Ork. Wojsk. (z Poznania) 16.00 Rozmowa z chorymi ks. M. Rękasa (ze Lwowa) 16.15 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego 16.45 Na statku emigranckim — reportaż 17.00 Koncert Ork. Filharm. Warsz. 17.50 Wpływ człowieka na klimat ziemi — pogadanka 18.15 Przeboje Irwinga Berlina — płyty 19.00 Koncert z Wystawy Radiowej w Wilnie 20.00 Muzyka lekka i taneczna 21.45 Rodzice i dzieci — obrazek Wandy Melcer 22.00 Koncert wieczorny.

Sobota, dnia 25 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół Śpiewajmy piosenki 11.40 Edward German — Suita cygańska 12.15 Orkiestra mandolinistów „Sempre— Vivo" 16.00 Teatr wyobraźni dla dzieci „Baśń o tysiącnogim" — słuchow. 16.30 Z naszych pieśni — wyk. Ada Witowska-Kamińska 16.50 Obrazki włoskie — z Krakowa 17.50 W borach Cisny — pog. 18.15 Wiązanka melodii Roberta Stolza — płyty 19.00 Muzyka ludowa w wyk. Okr. W. Krajowskiego i chóru „Zjednoczenie" 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą „Polska jesień" 21.05 Przedwojenne walce salonowe i piosenki 21.45 Nowości literackie 22.00 Muzyka taneczna.

HUMOR

POWÓD

— Zerwałem z narzeczoną!

— Dlaczego?

— Pachniała papierosami.

— Więc trzeba było poprosić, żeby przestała palić.

— Ba, w tym sęk, że ona nie pali w ogóle.

Z DWOJGA ZŁEGO

— Wiesz, mój ojciec ucieszył się bardzo, kiedy się dowiedział, że jesteś literatem.

— Tak, a więc czytuje moje książki?

— To nie, ale poprzedni kandydat do mojej ręki był bokserem.

PRZESĄD

Ja to nic a nic nie jestem przesądny. Wczoraj jeden jegomość upuścił w moich oczach portmonetkę, ja ja podniosłem, znalazłem w niej trzynaście złotych, wydałem je i wcale się nie boję o złe następstwa.

ZIMNY DRESZCZ

Ciocia do siostrzeńca:

— Zapewniam cię, że twego ojca bardzo szanuję, tylko mnie zimny dreszcz przenika, gdy zaczyna kląć o byle głupstwo.

— Zimny dreszcz! Żeby tak ciocia była u nas wtedy, kiedy papa włożył niechcący palec do młynka od kawy i zakręcił, to by się ciocia zamieniła w bryłę lodowatą!

NIEPEWNA POSADA

W wagonie trzeciej klasy dwaj podróżni nawiązują rozmowę. Gawędzą, rzecz oczywista, o ciężkich czasach. Starszy, wyglądający na woźnego, oświadcza:

— Nie mogę narzekać, posadę mam niezłą. Co mnie jednak najbardziej trapi, to, że mi mój szef powiedział, iż przyjmuje mnie tylko na próbę.

— A dawno tak panu powiedział?

— Ha, będzie ze dwadzieścia pięć lat temu.

DOBRY STRZELEC

— Co takiego? Wystrzelałeś sto nabojów i nie przyniosłeś nawet głupiego wróbla?

— Ale za to napędziłem im strachu na cały miesiąc.

W ZOO

Mały Jasio zwiedza po raz pierwszy ogród zoologiczny.

— A co to za zwierz, ciociu?

— Świnka morska.

— Ale ciociu, świnia, która się kąpie, to nie jest świnia?

PRZYJACIÓŁKI

— Nic sobie nie robię z mężczyzn! Dla mnie to powietrze!

— Tak, czy nie znajdujesz, że te ciągłe zmiany powietrza szkodzą ci?

PRZYSPIESZENIE

W Regułach pod Warszawą, gdzie przechodzi linia kolejki elektrycznej, wiodącej do Grodziska, na ogromnej łące pasie się stado bydła. Nagle podbiega jakiś pan z walizeczką w dłoni.

— Mój chłopcze — zwraca się do pastucha — jak myślisz, czy zdążę na pociąg szósta czterdzieści trzy, jeżeli przejdę wprost przez te pola?

Pastusszek zastanawia się dość długo, wreszcie odpowiada:

— To zależy od mojego byka.

— Jakto, od byka?

— Bo jeżeli mój bysio pana zauważy, to zdąży pan nawet na pociąg, odchodzący o szóstej piętnaście.

SZCZYT ROZTARGNIENIA

Pan hrabia wyruszył na polowanie. Gdy po kilku dniach wrócił do domu, żona wyszła na werandę i rzekła:

— Mój drogi, przecież zapomniałeś wziąć strzelbę z sobą!

— No, widzisz! — powiada hrabia. — Cały czas czułem, że coś mi brakuje, i nie mogłem sobie przypomnieć, co!

SIŁA WYŻSZA

Sędzia: „A dlaczego oskarżony nie mieszka razem z żoną?

Oskarżony: „Wolałbym, ale cóż, kiedy mnie pan sędzia stale trzyma za kratą"...



Historia bez słów...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI". — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie